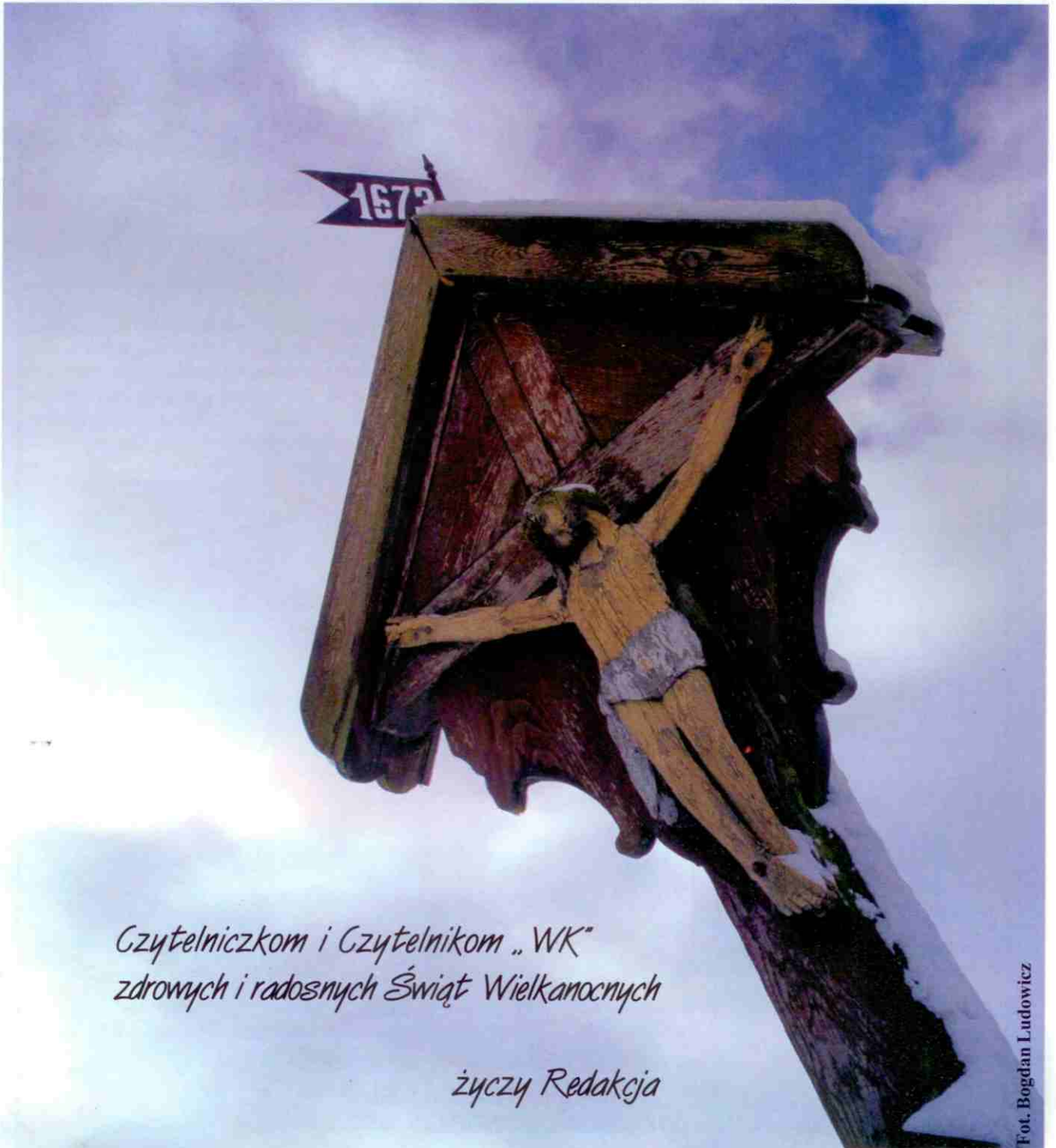


wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne • cena 5 zł • nr 1-4 (245-248) • styczeń-kwiecień 2013



*Czytelniczkom i Czytelnikom „WK”
zdrowych i radosnych Świąt Wielkanocnych*

życzy Redakcja



Nieprzeciętni 2012

Redakcja „Wiadomości Kościańskich” nagrodziła osoby, które mają wybitne zasługi w dziedzinie kultury i życia społeczno – gospodarczego Ziemi Kościańskiej. Statuetkę z brązu, przedstawiającą tytułową stronę „WK”, otrzymują raz w roku wybitne postacie – regionaliści, dziennikarze, działacze społeczni i samorządowi oraz przedsiębiorcy. Wśród dotychczas wyróżnionych znajdują się także obcokrajowcy i przedstawiciele emigracji polskiej, związani z Wielkopolską.

cd. s.4

Ks. kanonikowi Leonowi Stepniakowi

*- świadkowi historii, więźniowi niemieckich
obozów koncentracyjnych Dachau i Gusen, długoletniemu
redaktorowi pisma „Biuletyn Księżki Dachauczyków”
i laureatowi nagrody „WK”
najlepsze życzenia z okazji 100-lecia urodzin*

Ad multos annos

składa
zespół redakcyjny
„Wiadomości Kościańskich”

W numerze m.in.:

→ Nieprzeciętni 2012
(3-5)

→ O projekcie PKS
red. Pawła Sałackiego
pisze Katarzyna Żurek
(9-12)

→ Zdzisław Wojtczak
podąża
śladami Adama Mickiewicza
(21-23)

→ Hippioską komunę
w Kalifornii
przedstawia
Teresa Masłowska
(28-29)

→ Patriotyczna poezja
Eugeniusza Wachowiaka
(38)

→ Jan Pawicki kończy cykl
o starych grodziskach
(41-42)

Dodatek specjalny:
O godnym życiu
ks. Leona Stepniaka

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Alicja Żurek (marketing i kolportaż).

Adres redakcji: 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtyśiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Nieprzeciętni 2012

W XXIII edycji nagrodami „WK” uhonorowano:



Za regionalizm

Mirona Ratajczaka z Kościana

Rodowity kościaniak. Skarbowiec – emeryt. Były kierownik miejskiego Wydziału Finansowego i naczelnik Urzędu Skarbowego w Kościanie. Człowiek rozległej wiedzy i wszechstronnych zainteresowań. Od 33 lat członek Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, przez wiele lat członek władz powiatowych TWP. Regionalista – od 30 lat członek Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej, długoletni członek zarządu, sekretarz i skarbnik TMZK. Kolekcjoner pamiątek rodzinnych i regionalnych. Współtwórca i współredaktor wielotomowego wydawnictwa „Kalendarium Miasta Kościana”, inicjator książki „Szkice z dziejów kościańskiej skarbowości” i artykułów z tej dziedziny. Specjalizuje się w biografistyce – sekretarz zespołu redakcyjnego opracowywanego właśnie „Słownika Znanych Kościaniaków”, autor licznych haseł do tego słownika. Dużo czasu poświęca na kwerendy przeprowadzane w różnych archiwach. Jego dewizą jest – zachowajmy pamięć o tych, którzy w Kościanie byli przed nami. (T.M)

Za przedsiębiorczość

Czesława Szczepaniaka z Kielczewa

Właściciel firmy „Eko-Płyta” Sp. z o.o., powstałej w 1995 roku, od początku związanej z szwajcarskim koncernem „KRONO” oraz z innymi wiodącymi dostawcami produktów do wykonania mebli i wykończenia wnętrz. Zasadami firmy są: światowa jakość, konkurencyjna cena, inwestowanie w innowacyjność, profesjonalna obsługa klienta oraz szybki dostęp do oferowanych produktów. „Eko-Płyty”

wyróżniono certyfikatem NAJWYŻSZA JAKOŚĆ za efektywną realizację założonej wizji i strategii rozwoju, bogatą ofertę zaopatrzeniową dla branży meblowej i sprzedaży artykułów wyposażenia wnętrz, usługi stolarskie na maszynach najnowszej generacji oraz terminowość obsługi klienta. Przedsiębiorstwo nagrodzone także siedmiokrotnie nagrodą „Gazele Biznesu”, sklasyfikowane zostało na pierwszym miejscu w Wielkopolsce w rankingu „Wielka Mała Firma” i uhonorowane wyróżnieniem Starosty Kościańskiego „Przedsiębiorstwo Roku 2011 na Ziemi Kościańskiej”. Czesław Szczepaniak posiada tytuł „Menedżer Najwyższej Jakości”. Prowadzi działalność charytatywną – wydatnie wspiera ludzi prowadzących wolontariat, dzieci niepełnosprawne oraz organizacje i stowarzyszenia działające dla społeczeństwa. Prywatnie szczęśliwy mąż – żona Regina i ojciec trójki dzieci: Angeliki, Kamila, Adriana. Dumny dziadek wnuczki Aleksandry i wnuka Maksymiliana. (T.M)

Za przedsiębiorczość

Korporację rodzinną Szejderów Czempin – Głuchowo

Jest przykładem umiejętności pokonywania trudności i wytrwałości w działalności gospodarczej. Janusz Szejder postanowił wziąć los w swoje ręce, wziął kredyt na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ub. wieku, zakupił trzy tiry, sam usiadł za kierownicą. Firma rozwijała się dopóty, dopóki banki nie podniosły oprocentowanie do zabójczych 80%. Nie poddał się. Wyjechał do pracy zagranicę, spłacił kredyt i rozpoczął w Polsce od nowa. Punkt wyjścia – wymiana okien PCV i współpraca z firmą „DRUTEX”, która jest europejskim

potentatem w produkcji okien. Zaczynał od wymiany okien w powiecie kościańskim, poszerzał rynek zbytu, wreszcie podjął produkcję eksportową. Za granicą wykorzystał najpierw popyt na rolety okienne, kolejnym wyzwaniem były ogrody zimowe, werandy i okna z aluminium. Produkcję rolet uruchomił jego syn Piotr. Kiedy zagraniczni klienci domagali się różnokolorowych wzorów – uruchomiono malarnię okien. Zakład produkcyjny mieści się w Czempiniu – punkty sprzedaży w Głuchowie, Czempiniu i Gostyniu, niebawem będzie w Kościanie. I jest jeszcze trzecie ważne ogniwo rodzinnej korporacji – żona Janusza – Maria, pełniące rolę handlowca i finansisty. I tak obecnie senior Szejder zarządza firmą „Jamal” (to znaczy malarnią), jego żona Przedsiębiorstwem Handlowo – Usługowym „Maja” (handel oknami itp.), a syn firmą „Rolpa” (produkcja rolet, stolarka aluminiowa i transport itp.). Współpracują zgodnie, a więc tworzą rodzinną korporację. (T.M)

Za pielęgnowanie folkloru

Zespół Pieśni i Tańca „Żeńcy Wielkopolscy”

Powstał 23 września 1982 roku z inicjatywy Seweryna Miedzińskiego – ówczesnego dyrektora Zespołu Szkół Rolniczych w Nietążkowie (aktualnie Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych im. Jana Kasprowicza). Pierwszym jego instruktorem, choreografem i kierownikiem, a zarazem założycielem, był nauczyciel Eugeniusz Kurasieński. Początkowo zespół działał jako przyszkolne kółko taneczne. W miarę upływu czasu do programu wprowadzano coraz więcej tańców narodowych, regionalnych, pieśni ludowych i obrzędowych. Od 1985 roku zespół nosi nazwę „Żeńcy Wielkopolscy”. Zespół rozstawia kulturę ludową w kraju i zagranicą. Jest laureatem licznych nagród, zdobywanych na przeglądach wojewódzkich i ogólnopolskich. Do sukcesów tancerzy znacząco przyczyniły się kapele: duża i dudziarska. W połowie 1993 roku kierownikiem i instruktorem zespołu został Rafał Rosolski, który te funkcje sprawuje obecnie. W 1996 roku „Żeńcy Wielkopolscy” zostali zweryfikowani, wysoko ocenieni i przyjęci do Polskiej Sekcji Międzynarodowej Rady Stowarzyszeń Folklorystycznych, Festiwalu i Sztuki Ludowej C.I.O.F.F.; w 1998 roku uczestniczyli w spotkaniu z papieżem Janem Pawłem II przed Bazyliką św. Piotra. Rok później z Andrzejem Wajdą

i aktorami z filmu „Pan Tadeusz” brali udział w otwarciu Skansenu Filmowego Sopicowo w Cichowie. Zespół koncertował m.in.: na Białorusi, w Bułgarii, Danii, Francji, Grecji, Holandii, w Niemczech, Rosji, Serbii, Słowacji, Szwecji, Turcji, Ukrainie, Włoszech i na Węgrzech. Zespół chroni dziedzictwo kultury ludowej Wielkopolski i Ziemi Kościańskiej. Posiada godność „Zasłużony dla Miasta i Gminy Śmigiel” oraz odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. (T.M)

Poza tym po raz dziewiętnasty przyznano wyróżnienie „Dobry Gospodarz”. Otrzymał je:

Krzysztof Jankowski z Kokorzyna

Funkcję sołtysa Kokorzyna pełnił od 2007 r. Zrezygnował z niej 31 grudnia 2012 r. W Kokorzynie zamieszkał przed 24 laty. Sołtysem był przez 6 lat, to w czasie jego kadencji wieś zaczęła się rozbudowywać. Wyznaczono nowe ulice, m.in. Akacją i Sosnową, przy których powstają domy jednorodzinne. Budowy rozpoczęły się już przy ul. Poprzecznej, która połączy dukt spacerowy z drogą do magazynu gazu. Przełomem dla rozwoju wsi były lata 2007-2008, gdy postawiono salę gimnastyczną i rozbudowano szkołę. W 2011 r. zakończyła się budowa kanalizacji sanitarnej. Wiosną 2012 r. rozpoczęto remont zaplecza gospodarczego świetlicy. Na podłodze założono nowe płytki, obniżono sufit, zrobiono wentylację i całość wymalowano. W maju przed świetlicą powstała wiata przed wejściem. Do zrobienia zostało jeszcze wiele. W kuchni w świetlicy trzeba wymienić płytki, wyremontować piec, zrobić wyciąg. Brakuje też zaplecza socjalnego z prysznicami dla strażaków i sportowców.

- Jest miejsce na to, ale bez pomocy gminy nie uda się nam tego zrobić – nie kryje sołtys wsi. – Niedawno zdałem sobie sprawę, że cokolwiek zrobię, to i tak będzie za mało. Oczekiwania mieszkańców rosną, a ja już nie przeskoczę tej poprzeczki. Za kadencji sołtysa Jankowskiego w Kokorzynie był realizowany pierwszy projekt w gminie Kościan w ramach unijnego programu Odnowy Wsi. Odremontowano wówczas świetlicę wiejską, w której założono ogrzewanie, wymieniono stolarkę, odnowiono elewację i utwardzono podjazd. Ponadto ogrodzono i przeprowadzono renowację boiska, odmulenie stawu i renowację terenu wokół niego, wybudowano trakt spacerowy w parku. (kar)

Woda oczyszcza żywych

Śmigus, dyngus, kult wody wywodzi się z pogańskich wierzeń. Szczegółowo pisał o tym polski etnograf Franciszek Gawełek. W niniejszym tekście przedstawiamy wybór fragmentów z jego naukowego opracowania, zamieszczonego w 1911 r. na łamach kwartalnika „Lud”, które jest dostępne w całości na stronie Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej wbc.poznan.pl.

Bardzo dawnym, bo od czasów przedchrześcijańskich odnieść się dającym zwyczajem, jest zwyczaj oblewania się wodą w drugi dzień Wielkanocy, zwany pospolicie śmigusem albo dyngusem. Pomijając kwestyę filologiczną co do samego wyrazu śmigus i dyngus, czy jest on pochodzenia niemieckiego, jak chcą niektórzy, czy jakiego innego, konstatuję w tym zwyczaju fakt użycia samej wody, w czym dopatruję się przeżytku dawnego kultu tegoż żywiołu.

Zabytek kultu wody

Prof. Brückner uważa śmigus, jak i inne tego rodzaju praktyki ludowe za pozostałość po kolonistach niemieckich; może jednak raczej należy je uważać za jeden z pozostałości, ale nie niemieckich, lecz dawnych, pogańskich. A nawet, żebyśmy przyjęli, że przyszły one do nas z Niemiec, to przecież i w Niemczech nie były nowe, ale utrzymały się tam z dawnych czasów. Zwyczaj bowiem oblewania się wodą jest znany u różnych ludów, a jeżeli w różnych krajach zachował się jako zabytek kultu wody, to dla czegożby się nie miał zachować u nas. Znając konserwatywizm naszego ludu, nie trudno nam stwierdzić, że wiele w dzisiejszych przesądach jest pogańskiego, że lud nie tak łatwo pozbywa się starych nawyków i zmienia swe przekonania. Ze źródeł XV. wieku – słowa prof. Brücknera – da się stwierdzić, jak dalece lud i na polu wierzeń jest konserwatywny, jak mało zmieniają się, nawet w przeciągu pięciu wieków, pojęcia i zwyczaje w pewnym stadium rozwoju, jak próżne są na koniec usiłowania Kościoła walczącego od wieków a na darmo z gusłami.

A więc jasno tu mamy stwierdzony konserwatywizm ludu; przyjąwszy teraz, że Słowianom znany był kult wody, co stwierdzają wszyscy historycy kultury, trudno przypuścić, by się ten kult nie przechował do XIV. wieku, to jest do czasów kolonistów, a następnie, by nie dotrwał aż do naszych czasów. Wszak już kaznodzieje wieku XV. grożą kłątą tym,

którzy się bawią igrzyskami „zwyczajem pogańskim, co się zwie dyngus”. W rękopisie zaś do powyższych słów dodano na boku „a przecież mistrz w Racionale pozwala to, gdyż dyngusy nie są bez mistycznego znaczenia”. Zatem, gdyby dyngus u nas był czemś nowym, zaszczeplonem dopiero przez Niemców w wieku XIV., to na pewno kaznodzieja wieku XV. nie nazwałby go zwyczajem pogańskim i nie występowałby przeciw niemu, jak występował przeciw wielu innym przesądom (superstitiones), ale powiedziałby wprost: „zaprzestańcie tej obcej dla nas zabawki, porzućcie ją”. Notatka, „dyngusy nie są bez mistycznego znaczenia”, upewnia nas w naszym twierdzeniu, że śmigus, dyngus, jest zabytkiem kultu wody, że dzięki wzajemnemu oblewaniu, uczestnicy zyskują duchowe oczyszczenie się, odradzają się.

Nie napastować o jaja

Ponieważ często zdarzały się wypadki zatonięcia, więc też stale zakazywano urządzania śmigusa; zakazywał go Michał z Janowca, statuty biskupa poznańskiego, Andrzeja Łaskarza (zm. 1426 r.): „Dingus prohibetur”. W części pierwszej t. V. „Starodawnych prawa polskiego pomników” (Kraków 1878) ogłoszono uchwały synodu dyecezyi Poznańskiej, odbytego, jak się zdaje w r. 1420; w uchwałach tych znajdują się postanowienia przeciw niektórym zwyczajom zabobonnym, praktykowanym naówczas w dyecezyi. Czytamy tam między innymi: „Dingus prohibetur” w art. XXXIV: „Zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet a kobiety mężczyznom nie ważyli się napastować o jaja i inne podarunki, co pospolicie się nazywa dyngować, ani do wody ciągnąć”... Z dalszych dziesiątków tegoż wieku posiadamy dość obfite wiadomości o oblewaniu wielkanocnym u nas.

Przypatrzmy się teraz, jak inni pisarze zapatrują na śmigus, a

▶ następnie, jakie woda ma zastosowanie w ceremoniach ludu. – Hanusz spowinowaca obyczajowego oblewania wodą w Wielkanoc ze skandynawską czią Thora i z słowiańskim bóstwem wiosny Pogodą, wykazując istnienie takiegoż zwyczaju z tą samą myślą w Indyach i Persyi. Kazimierz Szulc (w rozprawie o ludowych bałwochwalczych uroczystościach) odnosi śmigusy do czi trackiej Atesa, bóstwa słońca i bogini ziemi Kybeli. Grajner (Studia nad podaniami) widzi początek zwyczaju w pogańskim święcie Nii, czyli Niwy, żony Peklenca, witającej na wiosnę ziemię w towarzystwie pachofka swego Dyngusa. Marcinkowski zastanawia się nad tożsamością śmigusa u nas i nad Gangesem, gdzie należy do obrzędów świąt wiosnianych, które tam Huli nazywają. Karłowicz wreszcie pisząc o śmigusie nie wypowiada swego zdania co do jego pochodzenia, mimo, że mu przyznaje bardzo stare pochodzenie.

Słowiańskie rusałki i wity

Najsnadniejszą drogą w badaniach takich – mówi Łepkowski – jest zgodzenie się z Marcinkowskim na pewnik, iż cywilizacja pogańska ludów słowiańskich miała równie, jak cywilizacja innych ludów starożytnych, jedną tradycję nauki ezoterycznej, przechowaną w micie religijnym społecznym. Mit religijny zaginął częściowo a odnaleźć go można w różnych praktykach obyczajowych ludu, przestrzeganych nieraz jakby relikwie świętej przeszłości.

Słowianom znany był zarówno kult ognia, jak i kult wody. Słowianie czcili wody i w fantazji swej zapewniali je rusałkami, wiatami i.t.p.; dziękując za jakieś otrzymane dobrodziejstwo wrzucali do wody srebrne monety, co było również zwyczajem i w Indyach. Kosmas i Nestor wspominają o darach, jakie składano wodom w ogólności. Oblewanie się wodą znane było w Indyach, znane u Persów i innych, o czym pisze Hanusz. U Czechów zwało się Oblevačka.

Dr. Zibrť pisze o czi wody u Czechów. Zakazy składania ofiary, robienia wróżb, powtarzają się w uchwałach synodów, a jednak kult wody był tak głęboko zakorzeniony, że przeżytki jego do dziś dnia istnieją w

zabobnach ludowych. Ciekawy obrządek opisuje Burchard z Wormacyi z wieku XII. W czasie suszy dziewczęta oprowadzają małą dziewczynkę nagą. Napotkawszy roślinę, zwaną blekot (belisa) wrywa ją małym paluszkiem prawej ręki, przywiązuje sobie do małego palca prawej nogi i tak wlecze ją do rzeki. W rzece roślinę topią, a dziewczęta gałkami, które trzymają w rękach, pokrapiają nagą towarzyszką, a potem odprowadzają do wsi, prowadząc nawspak raczym śladem. Taki sposób ściągania potrzebnego deszczu do dziś dnia istnieje. Na dowód przytacza Zibrť zwyczaj ludowy w Tyrolu wzajemnego polewania się wodą przez dziewczęta i chłopców, dalej perperę nowogrecką, peperę bułgarską, dodolę serbską, topolę wielkoruską, oraz obrzędy z Lazarem na Kaukazie.

Oczyścić na duszy i ciele

Wracając do kultu wody u nas, o którym wspomnieliśmy już na samym początku, że istniał u nas w XIV. wieku, przypatrzmy się dzisiejszym praktykom ludowym. Woda uchodzi zawsze za symbol oczyszczający, stąd też nawet ogień, który jest samą czystością, zbrukany przez zetknięcie się ze światem, musi się oczyszczać w wodzie: gdy woda wre, to on właśnie kąpiąc się w niej, wywraca takie koziołki. Ogień wymieciony z pieca piekarskiego należy przeżegnać i postawić przy nim garnek z czystą wodą, bo się w niej będzie ogieniaszek czyścić. Uroki można odpędzić od chorego tylko przy pomocy wody, do której należy wrzucić 9 węgli i uważać, czy węgle syczą i czy poszły na dół, lub pływają po powierzchni. Wodą tą należy natrzeć pulsa, czoło i piersi, a następnie wypić pewną dozę. Wodą polewa się każde nowokupione bydło, by je zabezpieczyć przed chorobami i „złym wzrokiem”, wodą obmywa się oczy przy pierwszym zobaczeniu jaskółki na wiosnę, aby były zdrowe, woda, według wiary ludu ma związek z światem zaziemskim a wrzucone doń skorupy jaj dopłyną do krainy Rachmanów i zwiastują umarłym święto zmartwychwstania, w wodzie obmywa się dusza po wyjściu z ciała i stąd to w sąsiedniej chacie, gdzie leży umarły, nie pijają wody z rana.

A czemuż jest zwyczaj puszczenia wianków na wodę, jeśli nie uwydatnieniem tej wiary w moc wody, która jako mająca styczność z krainą duchów, ma wywróżyć dziewczynie jej przyszłość. Dziewica

puszczając swój wieniec na wodę, składa w nim niejako swój los, składa w nim nadzieję, w przekonaniu, że się nie zawiedzie, że życzenia jej zostaną odgadnięte. Wiadomo, że człowiek pierwotny, żyjący na łonie natury, tylko z tą naturą miał do czynienia. On w niej widział wszystko i ona mu też wszystkiego użyczala, a czując swą od niej zależność, był wobec niej zobowiązany. Więc też ubóstwiał siły przyrody i starał się zawsze tak postępować, by niczem i nigdy nie obrazić Bóstwa. Stąd to wstępując razem z przyrodą w nowy okres życia, w nową porę roku, człowiek widział jej odnawianie się, widział oczyszczanie z brudów zimy i sam starał się podobnie odnowić, oczyścić na duszy i ciele, by podobnie jak ta jego opiekunka, rozpocząć życie nowe.

Ważny środek lekarski

Cześć dla wody do tego stopnia jeszcze dziś się zachowała, że lud uważa wprost za grzech wrzucać do wody coś nieczystego. Woda nie tylko na ludzi, ale i na martwą przyrodę, jak drzewa, może wywierać swą moc zbawienną. W Tomicach, w pow. Poznańskim, jeżeli drzewo owocowe przestało rodzić, trzeba pójść na Resurekcję, i nie oglądając się, w milczeniu przynieść wody święconej, pokropić drzewo, zapukać trzy razy do pnia i powiedzieć: „Wstawaj! Przyszdeł czas, że musisz nosić owoce”. Od tego czasu drzewo będzie miało owoce.

Nie tylko u nas, ale i u innych Słowian kult ten jeszcze żyje. Wedle Bogdanowicza, lud na Białej Rusi dotąd czi religijnie „jeziera, kładziezi i istocznicy”, a wodę źródlaną „żywą” uznaje się za ważny środek lekarski.

Reasumując to wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli o wodzie, przychodzimy do wniosku: wiara w oczyszczającą moc wody, datująca się od najdawniejszych czasów, doszła do nas w różnych formach, a między innymi i w śmigusie. Woda oczyszcza żywych, jak ogień czyści dusze umarłych, a jako mająca styczność z krainą pozaziemską, wróży niekiedy człowiekowi jego przyszłość.

FRANCISZEK GAWEŁEK

* Zachowano pisownię oryginału. Śródtytuły pochodzą od redakcji



Siostra Joanna Lossow.

Fot. w zbiorach autorki artykułu

Siostra Joanna od Jedności (2)

W 1932 r. Hala wyjechała do Paryża; przez rok w Instytucie Katolickim pogłębiała studia tomistyczne. Tam zachorowała na gruźlicę, leczoną później w Zakopanem, gdzie czas spędzała na lekturze książek religijnych i ostatecznie podjęła postanowienie wstąpienia do Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża w Laskach. Rodzina Lossowów przyjęła tę decyzję bez entuzjazmu, głównie z powodu, że był to ubogi zakon.

Po powrocie do domu jej przeniesienie do Lasek oddalały w czasie różne

wydarzenia: ślub siostry Zofii, którego udział miał ks. Kornilowicz, własna choroba, święto – poświęcenie sztandaru Młodych Polek w Gryżynie i „szaleństwa społeczne” – akademia, majówka itp. Wyjechała z Gryżyny, żegnana przez Koło Młodych Polek i całą młodzież, w towarzystwie matki i siostry Marii. Pożegnalny obiad miał miejsce w Warszawie, w hotelu Bristol; 24 maja 1933 r. Hala znalazła się w Laskach.

Rozpoczęła aspiranturę w grupie młodych dziewcząt, w większości niewykształconych, w tym paru Żydówek. 8 września 1933 r. otrzymała welonik,

weszła do postulatu i przyjęła imię Joanna. Geneza nadania tego imienia tłumaczona jest dwojako. Raz, że Matka Czacka nadała Hali to imię, żeby była mężna jak Joanna D'arc; drugi raz, że to jest imię po babce Hali, którą ta bardzo szanowała. Siostra Joanna pełniła w Zgromadzeniu różne funkcje: pracowała w kuchni, w administracji, w internacie niewidomych chłopców, załatwiała sprawy Domu Rekolekcyjnego w zastępstwie kierującego Domem ks. Kornilowicza.

W latach 30-tych Laski były ubogie, żyły głównie z kwest i darów. Siostry często nie miały nawet własnego miejsca do spania, a praca z niewidomymi była ciężka. Mimo tego do 1939 r. do Zgromadzenia w Laskach wstąpiło ponad dwieście sióstr, w tym wiele Żydówek. Opinię Zgromadzenia ratowało nazwisko założycielki, Matki Elżbiety Czackiej. Ojciec siostry Joanny szanował Matkę Czacką, wspomagał jej Dzieło materialnie i służył radą.

Z czasem siostra Joanna coraz bardziej angażowana była w sprawy Domu Rekolekcyjnego i faktycznie stała się sekretarką ks. Kornilowicza, który chociaż osiadł na stałe w Laskach, bardzo często z nich wyjeżdżał. Nie była to łatwa praca, ale s. Joanna wykazała się wielkimi umiejętnościami intelektualnymi i organizacyjnymi. Poza tym często uczestniczyła w różnego rodzaju akcjach, kwestach, była przełożoną sióstr pracujących w Domu Rekolekcyjnym i radną generalną w latach 1936-1945.

Wojna i okres powojenny

Siostra Joanna wyraźnie i znacząco wpisała się w wojenne losy wspólnoty Lasek. W chwili rozpoczęcia wojny we wrześniu 1939 r. miała niewiele ponad trzydzieści lat i została komendantką straży obywatelskiej domu przy ul. Wolności w Warszawie. Zaistniała taka potrzeba, bo w ostatnich dniach sierpnia i początkach września ewakuowano z Lasek wszystkich poza kilkoma siostrami, obsługującymi szpital dla żołnierzy, walczących w Puszczy Kampinoskiej. Pełniąc odpowiedzialną funkcję, wykazała się energią, zdyscyplinowaniem, a jednocześnie wielką ofiarnością i odwagą. A były to dni pełne grozy: zbombardowanie domu, zranienie Matki Czackiej i kilku sióstr, śmierć jednej z nich, przeprowadzki, głód, warta na dachach dla likwidowania bomb zapalających.

Po kapitulacji Warszawy s. Joanna pełniła funkcję przełożo-

nej siostr i na polecenie Matki Czackiej, dojeżdżała czasem do Żułowa, gdzie Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi miało swoją placówkę. Od stycznia 1942 r. została przełożoną w Żułowie; dotychczasowa przełożona była Żydówką i musiała przenieść się w bezpieczniejsze miejsce. Pod koniec 1944 r., w porozumieniu z lubelskim oddziałem PCK, zorganizowała Dom Ociemniałego Żołnierza w Surhowie.

W czasie okupacji z wielkim poświęceniem udzielano pomocy Żydom, zarówno w Laskach, jak i w Żułowie, a także w Warszawie przy ul. Wolność. W ukrywaniu się przed gestapo konieczna była pomoc otoczenia i życzliwych Polaków. Siostra Joanna w tej działalności – świadczenia pomocy – brała czynny udział, często z narażeniem życia.

W Żułowie i Kozłowie, prowizorycznej placówce Zakładu w czasie wojny, znalazło schronienie wiele osób, m.in. ks. profesor Stefan Wyszyński i ks. Władysław Kornilowicz. Ks. prof. Wyszyński, najpierw w Kozłowie, później w Żułowie prowadził wykłady dla sióstr, rekolekcje i konferencje. Ks. Kornilowicz ukrywał się; był poszukiwany przez gestapo, bo w pierwszym dniu wojny nadano przez radio jego apel do narodu niemieckiego, zzywający do opamiętania się i zaprzestania wojny.

Okres powojenny niósł wielkie zmiany. W 1946 r. zmarł ks. Władysław Kornilowicz. Cztery lata później Prymasem Polski został biskup lubelski ks. prof. Stefan Wyszyński. W tym samym roku schorowana Matka Elżbieta Czacka zrezygnowała z pełnienia funkcji Przełożonej Generalnej Zgromadzenia, czyniąc swoją następczynią siostrę Benedyktę Woyczyńską. Siostra Joanna w tym czasie bardzo chorowała. Mimo tego, w latach 1947 – 1950 pełniła funkcję mistrzyni nowicjatu. Później miała zlecane wykłady biblijne i teologiczne dla sióstr profesek; studiowała filozofię i teologię. Absolutorium z filozofii uzyskała na Wydziale Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w 1949 r. i w Studium Generale w Krakowie w grudniu 1956 r.; magisterium z teologii na KUL w marcu 1956 r. W 1962 r. zamieszkała w klasztorze Matki Boskiej Pocieszenia przy kościele św. Marcina, przy ul. Piwnej w Warszawie.

Prekursorka ekumenizmu

Po wyborze na papieża Jana XXIII w 1958 r., utworzyła się niejako nowa

era w stosunkach między Kościołem rzymskokatolickim, a ruchem ekumenicznym. Jedność chrześcijan znalazła się już w pierwszej encyklice programowej nowego papieża. Siostra Joanna, zachwycona nową linią działalności Kościoła, zaczęła się kierować słowami Jana XXIII o tym, że katolicy, jako najliczniejsza grupa wśród wierzących w Chrystusa, powinni wychodzić naprzeciw wyznawcom innych chrześcijańskich kościołów. W tych słowach znalazła swoją drogę, swoje życiowe powołanie i oddała się zupełnie Dziełu Jedności Chrześcijan.

Zarówno na świecie, jak i w naszym kraju inicjatywy ruchu ekumenicznego pochodziły raczej ze środowisk niekatolickich. Już w listopadzie 1946 r. rozpoczęła działalność Polska Rada Ekumeniczna, której prezesem został ewangelicki ksiądz Zygmunt Michelis. W kościele rzymskokatolickim idee jedności chrześcijan podjęto pod wpływem papieża Jana XXIII, który zmobilizował cały świat do pracy na rzecz jedności chrześcijan. W lipcu 1961 r. s. Joanna, uzyskawszy zgodę Prymasa, odwiedziła ewangelickie diakonise, których przełożonym był ks. Michelis. Oświadczywszy, że chce poznać diakonise i zaprzyjaźnić się z nimi, usłyszała od księdza pamiętne zdanie: „Jeśli nawrócimy się do Chrystusa i Jego Ewangelii, nawrócimy się również nawzajem do siebie”. Tymi słowami kierowała się w dalszej pracy na rzecz ekumenizmu. Następne spotkanie odbyło się w Laskach. Odtąd siostry zakonne z Lasek i ewangelickie diakonise z Warszawa spotykały się regularnie.

Jednocześnie s. Joanna śledziła prace Soboru Watykańskiego II, który zapowiadał nowe w Kościele i sama dużo pisać, dawała wyraz wielkiemu entuzjazmowi dla sprawy jedności chrześcijan i podziwu dla papieża Jana XXIII. „Droga do jedności chrześcijańskiej, którą obrał Kościół pod takim wodzem, to pokorna droga naprawy tego, co było złe i odnowienia życia katolickiego w Chrystusie” – napisała w czasopiśmie „Znak”. Poza diakonisami, odwiedziła prawosławne mniszki na Grabarce, wychodząc z założenia, że wspólnoty zakonne stanowią naturalne ramy dla rozwoju ekumenizmu. Postawę dialogu, szacunku i otwartości wobec ludzi innych religii wyniosła z domu i czerpała z tradycji Lasek oraz działalności ich założycieli – Matki Elżbiety Czackiej i Ojca ks. Władysława Kornilowicza.

Pierwsze nabożeństwo ekumeniczne, jakie zorganizowano w Warszawie 10 stycznia 1962 r. w kościele św. Marcina przy Piwnej, wypadło niespodziewanie w dniu pogrzebu papieża Jana XXIII.

Zakony ożywione pragnieniem jedności stwarzały dobry klimat do dialogu między religiami, otwierając się nie tylko na wyznawców innych religii, ale i ludzi niewierzących; s. Joanna uczestniczyła w większości organizowanych spotkań. Działała w przekonaniu, że ekumenizm jest „drogą Kościoła” i „imperatywem chrześcijańskiego sumienia”. Jako jedna z pierwszych osób w Kościele rzymskokatolickim w Polsce podjęła systematyczną pracę na rzecz jedności chrześcijan. Szukała nieustannie drogi, by przejść do czynów.

W 1976 r. siostra Joanna założyła na Piwnej w Warszawie Ośrodek Ekumeniczny „Joannicum” ku pamięci papieża Jana XXIII, a mówi się, że nadała nazwę czemuś, co istniało już od lat 60-tych. Jak wspomniano wcześniej od 1962 r. w każdy ostatni czwartek miesiąca w kościele św. Marcina nieprzerwanie odbywają się nabożeństwa ekumeniczne (różnych wyznań). Ośrodek organizuje rekolekcje ekumeniczne i sesje naukowe w Laskach dla młodzieży i księży, w których uczestniczą duchowni innych wyznań. Przy Ośrodku powstała biblioteka ekumeniczna, która ma dwa tysiące książek i wiele czasopism (40 tytułów). Jest nieocenionym źródłem informacji o historii i o tym co aktualnie dzieje się w sprawie jedności chrześcijan.

Siostra Joanna swoją działalność na polu ekumenicznym prowadziła z wielkim zaangażowaniem. Poza tym, dużo pisała i tłumaczyła artykuły o treści ekumenicznej z francuskiego i łaciny. Współredagowała „Biuletyn Ekumeniczny”. Przez cały czas działalności współpracowała z diakoniską Kościoła ewangelicko-augsburskiego, Reginą Witt, z którą przyjaźniła się 37 lat. Wspólnie napisały książkę pt. „Sługa słowa Bożego i jedności chrześcijan” na temat działalności ekumenicznej, wspomnianego już pastora Kościoła ewangelicko-augsburskiego Zygmunta Michelisa. 8 listopada 1972 r. obie siostry były na audiencji u papieża Pawła VI. Papież powiedział m.in.: „Niech wasza przyjaźń, dwóch sióstr z różnych kościołów chrześcijańskich, trwa do końca waszego życia, bo jesteście dla Kościoła znakiem i zadatkiem nadziei, że jedność uczniów Chrystusowych zostanie osiągnięta”.

Od 1961 r. pracowała w sekcji ekumenicznej przy Studium Duszpasterskim, przekształconym później w Ośrodek ds. Jedności Chrześcijan przy Warszawskiej Kurii Metropolitalnej, gdzie była sekretarzem do 1989 r. (28 lat), będąc także członkiem Komisji Episkopatu ds. Ekumenizmu (21 lat). Niestrudzona działalność s. Joanny na rzecz jedności chrześcijan

została doceniona. Otrzymała Srebrny Medal – „Zasłużony w posłudze dla Kościoła i Narodu”, nadawany przez Prymasa Polski; nagrodę – „Bóg zapłać” od czasopisma „Powściągliwość i Praca”; Ekumeniczną Nagrodę Pojednania im. św. Wojciecha” oraz „Nagrodę od Fundacji Popierania Niezależnej Kultury”, za całokształt działalności ekumenicznej.

Pracy ekumenicznej poświęciła 45 lat i ofiarowała cierpienia ostatnich lat życia, kiedy mówiła i pisała do przyjaciół: „Pilnujcie jedności”. W swoim życiorysie napisała: „Dla naszych założycieli nie było >Żyda ani Greka< lecz wszyscy Chrystusowi...” Przez ostatnie lata życia przebywała w laskowskim szpitaliku, spisywała wspomnienia ze swego długiego, bogatego życia i prowadziła szeroką korespondencję. Pisała do mnie bardzo często – drobnym pismem – maczkiem. W 2004 r., w jednym z listów napisała: „Dziś piszę krótki list, bo muszę przeredagować francuski traktat...” I to w wieku 96 lat! Niezwykle wzruszający jest dzisiaj list pisany przed samym wyjazdem do szpitala: „Piszę jeszcze... w pośpiechu, bo czekam na karetkę pogotowia, która ma mnie zawieźć do Kliniki na Banacha w Warszawie”. Chyba był to Jej ostatni list, bo po operacji, 2 stycznia 2005 r., w dziewięćdziesiątym siódmym roku życia, zmarła.

Następczyni siostry Joanny, kierująca Ośrodkiem „Joannicum”, siostra dr Maria Krystyna Rottenberg napisała w 2005 r. książkę „Aby byli jedno. Pasja życia siostry Joanny Lossow”. Ukazuje w niej meandry życia siostry Joanny oraz jej prekursorską działalność na rzecz jedności chrześcijan na tle rozwijającego się ekumenizmu w Polsce. W tym samym roku wydała „Miniatury ekumeniczne. Księga pamiątkowa na stulecie urodzin siostry Joanny Lossow (1908-2005)”, poszerzając wiedzę o siostrze Joannie, Jej osobowości, zaangażowaniu, kontaktach osobistych i korespondencyjnych oraz niestrudzonej działalności dla jednego celu – jedności wyznawców wszystkich chrześcijańskich kościołów. Siostra Maria Krystyna, spytana jaka była na co dzień siostra Joanna, powiedziała m.in. „...siostra Joanna była ciepła, miła, serdeczna, bardzo ludzka, ale równocześnie mocna, energiczna...Modliła się dla siebie o >pokorne męstwo< i rzeczywiście była zarazem pokorna i mężna – prawdziwie >niewiasta mężna< – w tym Jej wielkość”. (Koniec)

TERESA WIŚNIEWSKA



Fot. Paweł Sałacki

Osiem zwyczajnych dni

Czwartek, 5 maja 2005 roku był - z punktu widzenia mediów - nudny. Nie działo się niemalże nic. Po tak zwanym długim weekendzie (od 30 marca do 3 maja) ludzie poszli do pracy dopiero w środę i to nie wszyscy. W urzędach brakowało po kilku pracowników. Limit imprez kulturalno-rozrywkowych wyczerpany został 1 i 3 maja. Nie było więc tego dnia w powiecie żadnego międzynarodowego festiwalu ani zjazdu koronowanych głów.

Pomysł narodził się w roku 2004. Był grudzień. Zastępca redaktora naczelnego „Gazety Kościańskiej” Paweł Sałacki wziął kalendarz. Zaczął go przeglądać pod kątem zawodowym. Co, gdzie, kiedy należałoby zrobić. Otworzył na dacie 05.05.05. Od dawna szukał pretekstu, aby utrwalić i zachować w fotografii naszą codzienność. I znalazł. Grę powtarzających się cyfr.

- Pomyślałem, może to jest pomysł? W ten sposób przejdziemy przez wszystkie pory roku. Z góry będzie wiadomo jaki to jest dzień. Projekt da się umieścić czasowo i terytorialnie...

Trzeba było jeszcze przekonać do idei kilku renomowanych fotografów. Przekonał. Starosta kościańskiego Andrzeja Jęcza nie musiał długo namawiać. Tak, wspólnymi siłami Gazety Kościańskiej i Starosty Kościańskiego, powstał projekt PKS – osiem dni z ośmiu miesięcy w ciągu ośmiu lat z życia powiatu kościańskiego

Pod pretekstem

Dwie rzeczy pchnęły Pawła Sałackiego od zamysłu do jego realizacji. Przede wszystkim fascynacja fotografią dokumentalną. Od zawsze miał potrzebę dokumentowania. Zapisywania tego co jest. Tu i teraz. Pracując jako dziennikarz dostrzegł, że brakuje nam dokumentów z bardzo nieodległej przeszłości.

- Po raz pierwszy poczułem się fotografii dokumentalnej 13 grudnia 1981 r. Będąc uczniem szkoły podstawowej dowiedziałem się, że jest wojna. Chciałem zachować tę rzeczywistość, którą znam. Wziąłem aparat marki Ami i poszedłem fotografować. Swoją ulicę, swój park przy którym mieszkam...

Fotografia opisuje to co widzimy, co dzieje się wokół nas, w naszym otoczeniu. Pokazuje to co dzieje się z nami samymi. Szybciej i łatwiej dociera do naszej świadomości aniżeli

opis rzeczywistości za pomocą słów. Łatwo robimy zdjęcia.

Wystarczy pstryknąć. Dziś, robi to niemal każdy. Mechanicznie. Żyjemy w erze obrazu i coraz lepszych technologii. Okazuje się jednak, że te szybko wykonywane zdjęcia często nic ze sobą nie niosą. W zalewie obrazów trudno jest rozpoznać co wartościowe. Większość z nas „pstrykając” nie szuka dodatkowych informacji. Nie zastanawia się czy to ma sens.

- Zdjęcia nie spięte, nieopisane, tylko pozornie tworzą obraz rzeczywistości. Stają się miazgą dla oka. Zebrać, ułożyć, udokumentować - temu miał służyć projekt PKS. Zdjęcia to część listu pisanego do przyszłych pokoleń. Razem z dziennikarskim opisem dnia pokazują codzienność, w której obecnie żyjemy...

Jest też drugi trzon przedsięwzięcia. Paweł Sałacki nie jest fotografem, jest przede wszystkim dziennikarzem, ale od zawsze żył fotografią. Oglądał zdjęcia, kolekcjonował, zbierał albumy, rozmawiał o fotografii. Co roku jeździł do Poznania na podsumowanie konkursów Wielkopolska Press Photo, Moja Wielkopolska, BZ WBK Press Photo. To spotkania środowiska fotografów, na których pojawiają się ikony - profesjonaliści tego fachu.

- Wiele lat podziwiałem, słuchałem. W końcu pomyślałem. Dlaczego ja wciąż jeżdżę do nich. Przyjeżdżcie tu. Zróbcie zdjęcia, a ja zadbam o to, by dobrze opisane, przechowane zamieniły się w list do przyszłych pokoleń...

Tylko jak ich tu wszystkich ściągnąć? Pretekst, zabawa w grę cyfr, już był. Nie zabrakło i szczęścia. W roku 2004 Gazeta Kościańska rozpoczęła batalię sądową o zniesienie przepisów o autoryzacji. Redaktor naczelny Jerzy Wizerkaniuk, został pozwany przez ówczesnego posła SLD za złamanie prawa prasowego. Po czterech latach sprawa zakończyła się wygraną naczelnego w Strassburgu.

- W roku 2005 zaczęło się coś dziać. Sprawą zainteresowało się wielu ludzi. Do Kościana przyjechał Mariusz Forecki. Na zlecenie

„Wprost” miał wykonać zdjęcie naczelnemu. Wówczas opowiedziałem mu o projekcie. Zgodził się od razu. Mariusz Forecki to mistrz fotografii dokumentalnej z dużym dorobkiem. Mając takie nazwisko mieliśmy już z górki...

„List” do przyszłych pokoleń

Pisanie listu rozpoczęło się 05.05.05. Ostatnia kartka została zapisana 12.12.12. Zasady były jasno określone od samego początku. Dokumentujemy. Zapisujemy to co dzieje w naszej okolicy się podczas kolejnych dni trwania PKS-u. Wykonano tysiące zdjęć. Pokazują codzienność kościańskiego dnia. Normalne dni, zwyczajnych ludzi. Można je zobaczyć na stronie projektu a także w Muzeum Regionalnym w Kościanie. To nie wszystkie wykonane zdjęcia. To te zdjęcia, które autorzy wybrali i zechcieli pokazać.

Przez kolejnych osiem lat w przedsięwzięciu udział wzięło wielu wyrazistych fotografów: Edward Baldys, Piotr Borowski, Mariusz Ciesielski, Bartosz Dziamski, Andrzej P. Florkowski, Mariusz Forecki, Marek Lapis, Bogdan Ludowicz, Hania i Marek Majchrzak, Marta Michałowska, Maciej Mosur, Alicja Muenzberg-Czubała, Paweł Sałacki, Szymon Siewior, Karolina Sikorska, Sławomir Skrobała, Filip Springer, Paweł Szott. To ludzie związani z fotografią prasową, z dokumentem.

- Zaprośiliśmy ich licząc na inne, nowe spojrzenie. Często my ludzie stąd, nie dostrzegamy pewnych miejsc czy sytuacji. To dla nas codzienność. Liczyłem na to, że obserwując ziemię na której mieszkamy oczami z zewnątrz, uda nam się zauważyć ją w innym świetle...

W większości to znani wielkopolscy fotoreporterzy. Ludzie z Wielkopolski. Wiedzą gdzie jesteśmy, rozumieją kontekst kulturowy. Tyle, że miasteczka, wsie są inne, nowe.

- Trochę bałem się tego, że ludzie o dużych nazwiskach nie zdecydują się na zabawę, która jest ograniczona terytorialnie i czasowo. Przecież to zwykły dzień. Nie ma walących się wieżowców, spektakularnych zdarzeń. A jednak nie przestraszyli się tego...

Przeciwważą do tego innego spojrzenia miało być to jak my sami

siebie widzimy. Zdjęcia mieszkańców powiatu rejestrujące codzienny rytm życia swojego miasta, wsi, ulicy. Przez te osiem lat liczba Kościaniaków, którzy włączyli się do projektu oscylowała wokół setki. Raz było ich więcej, raz mniej. Sałacki nie ukrywa, że liczył na to, że zdoła przekonać do zabawy większą liczbę osób. Ale byli i tacy, którzy co rok dokumentowali rzeczywistość i zapisywali ją na zdjęciach.

Zderzenie z tematem

Projekt miał opierać się na przypadkowych zderzeniach fotografa z tematem. Takie było założenie. Co roku organizatorzy i fotoreporterzy spotykali się na śniadaniu. Dyskutowano, załatwiano sprawy formalne, podpisywano dokumenty i losowano: kto, gdzie się wybierze. Fotoreporter losował i wypadało, że jedzie do gminy Czempin. Czysty przypadek. Dostawał mapy, jechał i dokumentował. Organizatorzy dbali, aby w każdym zakątku ziemi kościańskiej ktoś był.

- Taka koncepcja spodobała się fotografom. Niby środek Wielkopolski, cóż ich może tu zaskoczyć. A jednak. Co mnie zawsze zastanawiało różni ludzie często trafiali w te same miejsca. Jakaś pompa w polu, chyłca się brzoza. Charakterystyczny człowiek. Pewne rzeczy bardziej przyciągały ich uwagę...

Po jakimś czasie aby nie popaść w rutynę pomyśleli, iż należałoby coś zmienić. Chodziło głównie o fotografów, którzy brali udział w projekcie po raz kolejny. Były takie rzeczy, które nie były typowym wyjściem na ulicę. Fotografią przypadkową. Tak było między innymi w przypadku Mariusza Foreckiego.

- Ściągnąć Foreckiego nie jest łatwo. Jeśli był w trakcie pracy nad jakimś projektem zakończonym albumem czy wystawą, dostosowywałem się do tego tematu...

Jednego dnia fotograf towarzyszył weterynarzowi, który opiekuje się końmi na terenie powiatu kościańskiego. Powstał ciekawy cykl. Operacja konia, który stracił oko podczas pokazów kawalerii. Innym razem dokumentował codzienność zakładów pracy. Obrzańkiej Spółdzielni Mleczarskiej, śmigielskiej firmy Tomasa Sterna, Mieszalni Pasz Lira w



Fot: Sławomir Skrobała



Fot. Bogdan Ludowicz



Fot. Mariusz Forecki

Krzywiniu czy Zakładów Mięśnych Domagała w Turwi. Kilka zdjęć z projektu PKS znajduje się w albumie „I love Poland” Mariusza Foreckiego; albumu, który pokazuje dwadzieścia lat transformacji ustrojowej w Polsce.

Tata na końcu świata

Ciekawa seria zdjęć powstała w Żegrówku. Ich autorem jest Sławomir Skrobała. Ilustrują one dzień z życia małej szkoły podstawowej. Filialna szkoła urzeka wyjątkową atmosferą. Zdjęcia fantastycznie oddają klimat tego miejsca. Jego magię. Mały budynek, położony w zaciszu, otoczony starymi drzewami. Dziś już coraz mniej jest takich miejsc.

- Nie potrafię wskazać najważniejszych fotografii. Każda z nich jest ważna. Każdy z autorów ma wyjątkowe spojrzenie. O każdym zdjęciu mogę opowiedzieć, opisać je. Dobrze znam je wszystkie. Są perełki, fotografie, które pojawiały się na wystawach, w albumach czy katalogach. Tych dobrych, mocnych jest wiele...

Jednym ze zdjęciem, które wywołało duży oddźwięk była fotografia Sławka Skrobały przedstawiająca mężczyznę stojącego na tle własnoręcznie zbudowanego przystanku autobusowego we wsi Donatowo. Zbudował przystanek dla swoich córek, dojeżdżających do szkoły autobusem. Po to, aby nie mokły na deszczu. O tej historii rozpisywała się później prasa. W Gazecie Kościańskiej tekst inspirowany tym zdjęciem zatytułowany był „Tata na końcu świata”.

Bajka z przeszłości

Wartością projektu była także jego nieprzewidywalność i rola przypadku. Jak w ostatniej odsłonie projektu. 12.12.12 był wyjątkowo śnieżny. Piękny dzień. Szymon Siewior miał robić zdjęcia w gminie Krzywiń. Miała to być fotografia uliczna, a fotografował pustkę. Zamarznięte jezioro, trawę wychodzącą spod śniegu. Ugrzązł gdzieś w trasie. Wyciągnięto go dopiero po jakimś czasie przy pomocy ciągnika.

Zabawa w cyferki była



► jedynie pretekstem. Ale dzięki niej udało się zrealizować coś ważnego, co przetrwa. Pozostanie zapisane dla przyszłych pokoleń. Taki był cel PKS-u i związane z nim nadzieje. Ukoronowaniem projektu był odbywający się w ubiegłym roku w Poznaniu Wielkopolski Festiwal Fotografii im. Ireneusza Zjeżdżałki. Projekt PKS został doceniony i uznany jako jedno z ciekawszych i bardziej wartościowych zdarzeń fotograficznych, mających miejsce w ostatnich latach w Wielkopolsce.

- Cieszę się, że Kościan związany jest z jakąś ideą. Będzie się kojarzył z dobrą fotografią. Dobrym dokumentem. Dzięki tej zabawie udało nam się ściągnąć tych wszystkich ludzi. Razem zrobiliśmy coś wyjątkowego. Kto to doceni? Myślę, iż ludzie związani z fotografią. Dokumentaliści. Dla socjologa to również ważny zapis. Życie miasteczka na przełomie wieków. Wreszcie wielu z nas lubi takie rzeczy. To jak bajka z przeszłości dla naszych dzieci, wnuków, prawnuków. Nasi następcy będą mieli zabawę odkurzając historię, którą my przeżyliśmy i opowiedzieliśmy. Może ktoś kiedyś weźmie album z półki. Zacznie go przeglądać. Poczuje, że to mało. Zajrzy do Internetu. Pomyśli, że chce więcej. Wyjdzie z domu, pójdzie do muzeum. Odkurzy stare katalogi. Ja chciałbym coś takiego odkryć...

Postscriptum

Ostatnia karta została zapisana 12.12.12. Ale to jeszcze nie koniec. W tym roku ukazać ma się album z wybranym zdjęciami. Jeszcze nie wiadomo jak będzie ostatecznie wyglądał. Album podzielony będzie na kolejne odcinki. Kolejnych osiem dni. To będzie uwieńczenie tych wszystkich lat.

- Przed nami dużo pracy. Trzeba się w to wszystko raz jeszcze zgłębić. Przeanalizować, opracować. Temu poświęcę ten rok. Myślę jednak, że w 2014 będę czuł głód. Mam już kilka pomysłów w głowie. To jednak przyszłość i nie będę teraz zdradzał...

KATARZYNA ŻUREK

Już lipa roztula ...

[100 lat kościańskiego harcerstwa]

Pierwsza drużyna skautowa powstała w Kościanie w 1912 roku. Niespełna cztery lata po powstaniu ruchu skautowego na świecie. Jej patronem był Jan III Sobieski. Przez szereg lat kościańscy harcerze działali w duchu tradycji i ideałów skautowych. Przyświecały im wartości pracy nad sobą i służby dla innych. Udowodnili to nieraz. Wspomnieć można bohaterską akcję Rezerwy Skautowej, kiedy to w grudniu 1918 roku, druhowie na wieść o wybuchu powstania w Poznaniu zdobyli magazyn broni, a później walczyli w oddziałach powstańczych i w wojnie polsko – bolszewickiej. W pamięci zapisała się też odwaga harcmistrza Floriana Marciniaka, pierwszego naczelnika Szarych Szeregów. Jego śladem poszło wielu kościańskich harcerzy: Antoni Schwarz, Zenon Brudkiewicz, Zbigniew Brzeziński, Antoni Meyza czy Edward Fabiańczyk. Wszyscy oni i wielu innych zapłacili najwyższą cenę za wierność ideałom. Historia kościańskiego harcerstwa jest bogata i ciekawa. W ubiegłym roku obchodziliśmy stulecie harcerstwa na ziemi kościańskiej. O tym wyjątkowym jubileuszu i harcerstwie dzisiaj rozmawiam z komendantką hufca harcmistrz Jolantą Kasprzak oraz Kariną Jankowską – dziennikarką, współautorką książki „100 lat kościańskiego harcerstwa. Zarys dziejów 1912-2012”.



Jolanta Kasprzak (z prawej)
i red. Karina Jankowska

Fot. (4x)

Ze zbiorów kościańskiego Hufca ZHP

- 22 lutego harcerze na całym świecie obchodzą Dzień Myśli Braterskiej. To dzień urodzin założyciela skautingu Roberta Baden Powella. Harcerze spotykają się, składają wzajemnie życzenia, organizują uroczystości. W tym roku kościańskie obchody miały szczególnie wydźwięk.

Jolanta K.- Tego dnia wszyscy spotkaliśmy się w Kościańskim Ośrodku Kultury. Zuchy, harcerze, instruktorzy,



Migawka z uroczystej promocji książki

władze samorządowe. Uczciliśmy pamięć patrona hufca Floriana Marciniaka w 69. rocznicę jego śmierci. Była to także okazja do podsumowania trzydziestoletniej działalności Kręgu Harcerzy Seniorów im. Jana III Sobieskiego. To zwieńczenie całorocznych obchodów stulecia harcerstwa na ziemi kościańskiej. Ich ostatnią częścią była promocja książki autorstwa Kariny Jankowskiej i Romana Potoka pt. „100 lat kościańskiego harcerstwa. Zarys dziejów 1912-2012”.

- W 2012 roku obchodziliśmy stulecie harcerstwa na ziemi kościańskiej. Ale czy kościański hufiec włączył się również w uroczystości ogólnokrajowe, które przypadły wcześniej?

Karina J.: - Obchody trwały w Polsce od 2010 r. Początki ruchu harcerskiego w kraju datuje się właśnie na rok 1910, kiedy to powstawały pierwsze zastępy i drużyny, wzorowane na brytyjskich skautach. Kościańscy harcerze uczestniczyli nie tylko w obchodach krajowych, ale i światowych. W 2007 r. wyjechali na InterCamp do Francji. Był to międzynarodowy biwak zorganizowany przez skautów z Niemiec, Francji i Holandii z okazji stulecia powstania skautingu. Kościan reprezentowali druhowie z drużyn z zespołów szkół nr 2 i nr 1 oraz z Gimnazjum w Starych Oborzyskach. Wyjazd był ciekawym i niezapomnianym przeżyciem. W sumie pojechało 30 osób. Obozowisko usytuowane zostało w okolicach francuskiego miasta Gundershoffen w Alzacji. Było mnóstwo zabawy. Drużyny z poszczególnych krajów prezentowały właściwe sobie umiejętności i narodowe specjały. Z tego co opowiadali mi uczestnicy wyjazdu wiem, że wyjątkowo

gromkie brawa zebrała nasza harcerka Kinga, która brawurowo i pięknie zaprezentowała solowy taniec współczesny podczas wieczoru talentów.

Jolanta K.: - Trzeba dodać, że furorę zrobił nasz gzik, ogórki kiszzone i smalec. Cenię takie wyjazdy. Oprócz dobrej zabawy, dają nam możliwość poznania świata. Doświadczenia nowych miejsc, poznania interesujących ludzi.

- A więc kościańscy harcerze w myśli idei skautingu kultuwują też idee globroterskie. Czy było więcej takich wyjazdów?

Jolanta K.: - Rok później wybraliśmy się na InterCamp do niemieckiego Bernkastel-Kues, zorganizowany przez skautów holenderskich we współpracy ze związkami skautowymi z Niemiec, Belgii, Szwajcarii, Czech i Francji, a w roku 2009 gościliśmy w holenderskim Wellerlooi.

- Wróćmy do Polski. Podczas obchodów stulecia polskiego harcerstwa w Krakowie w sierpniu 2010 r. kościańscy druhowie poznali osobiście prezydenta Bronisława Komorowskiego...

Jolanta K.: - Wybraliśmy się tam wraz z delegacją Chorągwi Wielkopolskiej. Z kościańskiego Hufca ZHP pojechała dwunastoosobowa grupa. Atmosfera była wspaniała. To było wielkie święto polskiego harcerstwa. Celem jubileuszowego zlotu było rozpropagowanie idei harcerstwa w społeczeństwie. Uroczystego otwarcia zlotu dokonał premier Donald Tusk, a na Krakowskich Błoniach spotkało się 8 tysięcy harcerzy z całej Polski. Braliśmy udział w uroczystej mszy na Wzgórzu Wawelskim. Spotkaliśmy prezydenta Komorowskiego, gdy szedł na spotkanie z harcerzami z Warsza-

wy, na które zaprosił całą naszą grupę. Jako jedyni z Wielkopolski braliśmy w nim udział. Mieliśmy okazję porozmawiania z prezydencką parą i zrobienia sobie wspólnych zdjęć.

Karina J.: - Podczas spotkania nie zbrakło wątków mniej oficjalnych. Nasi druhowie dowiedzieli się, że to właśnie w harcerstwie poznała się przyszła para prezydencka. A to wszystko dzięki nowym, żółtym butom druha Bronka, które zwróciły uwagę przyszłej pierwszej damy.

- Wielkopolska Chorągiew ZHP obchodziła jubileusz stulecia w ubiegłym roku. Z tej okazji w dniach od 11 do 15 sierpnia odbył się uroczysty zlot harcerzy z Wielkopolski...

Jolanta K.: - W Ostrowie spotkało się blisko tysiąc zuchów, harcerzy i instruktorów z 18 hufców z całej Wielkopolski. Nie mogło i nas tam zabraknąć. Pojechaliśmy w 21-osobowej grupie. Zamieszkaliśmy w miasteczku namiotowym w Michałkowie, nieopodal Ostrowa. Bazą było małe lotnisko miejscowego Aeroklubu. Sami organizowaliśmy własny obóz – „ZHP Kościan”. Mieliśmy tablicę ogłoszeń, na której znalazły się informacje o patronie naszego hufca Florianie Marciniaku. Jedną z większych atrakcji był pobliski park linowy. Dla wyjątkowo odważnych i lubiących ekstremalne wyzwania. Trzech naszych instruktorów zjechało na linie nad jeziorem. Muszę się przyznać, że skapitulowałam. Lubię wyzwania i niekonwencjonalne sytuacje, choć niekoniecznie w tym stylu.

- Uroczystości obchodzą wszelkie święta harcerskie i patriotyczne. Włączacie się w obchody organizowane przez władze samorządowe i chorągwi. Jeździecie na uroczystości Głównej Kwatery ZHP do Warszawy, rocznicowe obchody powstania Szarych Szeregów czy obchody Poznańskiego Czerwca. Jak działalność hufca wygląda na naszym, własnym podwórku?

Jolanta K.: - Harcerstwo nie jest już tak atrakcyjne jak kiedyś. Ale to problem ogólny. Dzisiaj młodzież ma szereg innych zainteresowań, którymi wypełnia sobie czas wolny. Staramy się jednak zachęcać młodych ludzi na różne sposoby. Jako hufiec koordynujemy działania drużyn



Na druhow seniorów można zawsze liczyć. W środku współautor książki hm. Roman Potok

na terenie całego powiatu. Obecnie na ziemi kościańskiej jest siedem drużyn harcerskich i dziewięć gromad zuchowych. Co roku organizujemy obozy w Ostrowie koło Jastrzębiej Góry. W tym roku pojedziemy już po raz 34. Walczymy o tę bazę. Aby jej nie stracić, trzeba o nią dbać. Wymaga ciągłych remontów. Borykamy się z wieloma problemami i jak wszędzie największą bolączką są finanse. Samorząd widzi nasze problemy i stara się nam pomagać. Komenda działa prężnie. Moją zastępczynią i prawą ręką jest harcmistrz Dorota Kinal. Harcmistrz Dorota Zydlik jest jednocześnie zastępcą komendanta i skarbnikiem, a w komendzie pracują także młodzi instruktorzy przewodnik Ewelina Nowak i przewodnik Filip Kasprzak. Bardzo pomagają nam właśnie Karina.

- Jesteś harcerką?

Karina J.: - Nie jestem, ale byłam i bardzo fajnie to wspominam. W szkole podstawowej należałam do 63. Środowiskowej Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego. Teraz zaliczam się do sympatyków i przyjaciół. Harcerstwo może nie jest popularne tak bardzo jak kiedyś, wciąż ma jednak szerokie grono sympatyków i przyjaciół. Bo przecież kultywowanie stuletniej tradycji ma sens i to głęboki...

- Jesteś współautorką książki „100 lat kościańskiego harcerstwa. Zarys dziejów 1912 - 2012”. Promocja książki miała miejsce 22 lutego i była finałem kościańskiego jubileuszu...

Karina J.: - Uroczystości trwały cały rok. Miały wiele odsłon. Harcerze spotykali się, aby przypomnieć i przywołać spuściznę swoich poprzedników przy okazji biesiad, pikników, na festiwalu piosenki harcerskiej i zuchowej, przy okazji świąt patriotycznych. 27 września 2012 r. odbył się capstrzyk pod pomnikiem patrona hufca, hm. Floriana Marciniaka. Modlono się zmarłych i żyjących druhów. Okazja do świętowania była podwójna, bo oprócz stulecia 27 września przypadła także 73. rocznica przejścia ZHP do konspiracji pod kryptonimem Szare Szeregi. Z tej okazji pod pomnikiem złożono białe róże, symbol stowarzyszenia „Białe Róże”, które powstało specjalnie po to, by odbić z poznańskiego Fortu VII zmaltretowanego Floriana Marciniaka. Niestety, nie udało się. Znałam kościań-

skie środowisko harcerskie dość dobrze z racji tego, że często uczestniczyłam w uroczystościach jako dziennikarka „Gazety Kościańskiej”. Dlatego też zgodziłam się pomóc w napisaniu i redagowaniu tej książki.

- Skąd pomysł usystematyzowania i spisania historii kościańskiego harcerstwa ?

Karina J.: - Pomysł ten rodził się w głowie komendantki hufca Jolanty Kasprzak. Chodziło o to, aby w wyjątkowy sposób uczcić tę niezwykłą okazję, która zdarza się raz na sto lat. Takiego jubileuszu już nie dożyjemy, a książka przetrwa.

Jolanta K.: - Na pierwsze spotkanie zaprosiłam ludzi, którzy chcieliby i mogli pomóc. Był na nim między innymi znany regionalista red. Jerzy Zielonka. Żywo dyskutowaliśmy. To on nakreślił nam jak mogłoby to wyglądać, jaki kształt powinna mieć książka. Inicjatywę podjęli instruktorzy i ludzie z komendy. Tak się zaczęło.

Karina J.: - Byłam na tym spotkaniu. Przyszłam po starej znajomości z komendantką. W ogóle nie myślałam, że będę współautorką książki. To nie ja miałam się tym zajmować. Propozycja wyszła od redaktora Zielonki. Zapytał, czy nie podjęłabym się tego zadania. Dał mi kilka dni na przemyślenie. Wspólnie z Jolą zdecydowaliśmy, że spróbujemy.

- W książce możemy znaleźć kalendarium wydarzeń, biogramy działaczy harcerskich, dzieje wybranych drużyn, wykaz komendantów, informacje na temat harcerskich miejsc pamięci, zjazdów i obozów harcerskich oraz wspomnienia druhów. To masa materiałów i informacji. Przypuszczam, że ich

gromadzenie oraz redagowanie to była mrowcza praca...

Karina J.: - Wydawało mi się, że spisać co wiemy i koniec. Zresztą zbieranie materiałów nie było aż tak dużym problemem. Większość dostępna była tu, w hufcu. Niestety, wiele dokumentów zostało bezpowrotnie utraconych w wyniku zalania. Rozmawiałam też ludźmi, którzy wspominali lata w harcerstwie. Kiedy już wszystko zebraliśmy, trzeba to było dokładnie sprawdzić. Każde nazwisko, nazwę, miejscowość, datę. Zdarzało się, że jakiś drobny błąd był powielany od pokoleń. Staraliśmy się tego uniknąć. Nie sądziłam, że tej pracy redakcyjnej – jak mówisz mrowczej – będzie aż tyle.

- Współautorem książki jest znany działacz harcerski druż. hm. Roman Potok. Jak podzieliście pracę?

Karina J.: - Lata przedwojenne i powojenne do roku 1990 opracowywał druż. Roman Potok. Jest kronikarzem Kręgu Harcerzy Seniorów i bardzo skrupulatnie prowadzi kronikę Kręgu. Ma też sporo dokumentów i informacji, dotyczących kościańskiego harcerstwa. Sporo materiałów udostępniła też sekretarz Kręgu Seniora druż. Janina Kaczor. Lata współczesne opracowywałam ja z racji tego, że pracując jako dziennikarka, często uczestniczyłam w uroczystościach, imprezach i życiu kościańskiego Hufca. Nie raz opisywałam jego działalność na łamach „Gazety Kościańskiej”.

Jolanta K.: - Nie bądź skromna. To ty sprawowałaś do końca pieczę nad całością książki. Była w stałym kontakcie z wydawcą Darkiem Borowskim, który



Harcerze z drużyną komendantką w Warszawie

bardzo nam pomógł. Książka jest ładnie wydana, a projekt okładki - według naszych sugestii - bardzo mi się podoba.

- Problemy, które utrudniały i komplikowały Wam pracę nad książką ?

Karina J.: - Problemy zawsze występują. Mieliśmy na przykład opracowany wzór biogramów, zgodnie z zasadami naukowymi biografistyki. W wielu przypadkach trzeba było odstąpić. Ludzie niezbyt chcieli szczegółowo mówić o sobie. Buntowali się, nie chcieli zdradzać swojej prywatności. Skupiliśmy się więc na pracy harcerskiej. Aby nikogo nie urazić, postanowiliśmy to zrobić właśnie w taki sposób. Byliśmy też ograniczeni objętościowo. Wiele zagadnień moglibyśmy poszerzyć i uzupełnić, ale nie było na to już miejsca. Książka i tak rozrosła się. Miało być 115 stron, a jest ostatecznie 200.

- Gdzie można nabyć książkę ?

Jolanta K.: - Ukazało się 300 egzemplarzy i wszystko już się rozeszło. W tej chwili książka jest niedostępna. Część nakładu znajduje się w starostwie, które zajęło się rozestaniem jej do bibliotek w całym kraju. 180 egzemplarzy rozdano podczas promocji.

- Jest więc powód, aby wznowić wydanie...

Jolanta K.: - Zainteresowanie książką jest duże. Ludzie przychodzą do hufca i pytają czy można ją kupić. Chcielibyśmy wznowić wydanie - poprawione i uzupełnione. Książka ta jest bowiem punktem wyjścia, prezentuje pewien materiał i może stanowić punkt do dalszych badań. Jej promocja była zwieńczeniem obchodów jubileuszu stulecia harcerstwa na ziemi kościańskiej. Przemysłimy to. Teraz skupiamy się na codziennej pracy. Chorągiew Wielkopolska ZHP nosi nazwę Powstańców Wielkopolskich, a właśnie wchodzimy w 95. rocznicę Powstania Wielkopolskiego. Planujemy związane z tym imprezy, w tym rajdy i biwaki. Kościański hufiec z pewnością włączy się w te uroczystości. W lutym braliśmy udział w grze miejskiej „Kryptonim Wolność”. W kwietniu planujemy zorganizować bieg patrolowy po miejscach związanych z powstaniem. Odwiedzimy groby, miejsca pamięci, zapalimy znicze. Plan jest w chwili obecnej opracowywany przez drużynę Marię Plutę, prowadzącą drużynę w Zespole Szkół im. Marii Konopnickiej w Kościanie. Wciąż jest wiele do zrobienia.

KATARZYNA ŻUREK

Dzienniki Macieja Morawskiego (XIV)

Bołą mnie potępieńcze spory

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy kolejny odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2012 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: www.maciejmorawski.blox.pl.



Maciej Morawski ze starostą Andrzejem Jęczem w Soplicowie. Fot. Teresa Masłowska

18 grudnia

Dopiero wczoraj dotarła do mnie przesyłka Wojciecha Morawskiego, profesora w Liceum im. Oskara Kolberga w Kościanie, przesyłka z 12 listopada 2012 r. Ale na wstępie może wyjaśnię, że Wojciech Morawski jest z innych Morawskich, nie z mojej rodziny. Jednak, i to chcę bardzo mocno podkreślić, już kilka lat temu uznałem go za krewnego. I to tym bardziej, iż jest, o ile się nie mylę, wnukiem śp. pracownika pałacu w Jurkowie Franciszka Prędkiego, którego bardzo lubiłem i świetnie pamiętam. Fakt, że Wojtek Morawski jest „u Kolberga” profesorem, jeszcze zacieśnia me więzy z owym liceum, gdzie w styczniu 1946 r. zdałem maturę. Dodam, że w październiku 2012 r. spotkałem się z dużą grupą uczniów kościańskiego liceum. Wydaje mi się, że nawiązałem z tą wysoce inteligentną młodzieżą ciekawy dialog: zadawali pytania bardzo rzeczowe i powiedziałbym wnikliwie. Wyczułem, że idzie o młodych, umięjących patrzeć w przyszłość, świadomych tego, iż idą zupełnie nowe czasy, bliskich problematyce europejskiej. Ale także interesujących się przeszłością, oceniających ją bez kłótliwego zacietrzewienia jakie zbyt często cechuje starsze

pokolenia.

Gdy mowa o przeszłości, nawiąże do ciekawej książki, jaką właśnie przesłał mi pan Wojtek Morawski „O Franciszku Dzierżykraj-Morawskim (1783-1861). Varia dla uczczenia 150 rocznicy śmierci wybitnego Wielkopolanina z Lubonii” (wybrał i opracował Leonard Dwornik; Gminne Centrum Kultury w Krzemieniewie). Bardzo mnie cieszy, iż Dwornik i gmina tak aktywnie interesuje się pamięcią mego przodka, o którym sporo pisał ojciec Kajetan Morawski („Tamten Brzeg”, Editions Spotkania, Warszawa 1996 r., rozdział „Klasyczne i romantyczne”).

W naszej tradycji rodzinnej zachowała się pamięć o Generale Morawskim, jako o człowieku o autentycznych wielkopolskich cnotach, który był uosobieniem rozsądku, zdecydowanym wrogiem polskich, potępieńczych sporów. Do tego stale, wedle rodzinnej tradycji, był on bardzo świadom jedności europejskiej kultury, tłumaczył na polski: Racine’a, Byrona, Shakespeare’a itd. Liczę, iż ta strona mego dziennika dotrze do Kościana i do Krzemieniewa! Chętnie podejmę dialog emailowy.

19 grudnia

Niedawno wróciłem z Polski. Bolał mnie potępieniec, wewnątrzpolityczne spory rodaków. Boli mnie, że w kraju chyba nie dostrzeżono się dostatecznie jasno pilnej konieczności wyposażenia Komisji Europejskiej w nowe uprawnienia gospodarcze, a to celem podjęcia naprawdę skutecznej walki z kryzysem i akcji nakręcania koniunktury. Nie rozumie się u nas ogromu zagrożeń, szybkiego zmniejszania się roli naszego kontynentu. Piszę - nie dostrzeżono się, ale muszę przyznać, że spotkałem w Polsce młodych ludzi naprawdę „oblatanych” w świecie, bardzo świadomych trzech rzeczy 1) że trzeba bardzo pilnie budować „nową” sprawną gospodarczo Unię, 2) że wszyscy siłą rzeczy jedziemy teraz na „wspólnym europejskim wozie”, 3) że polskie, dziwnie brutalne, polemiki polityczne pachną XX wiekiem i parafianstwą! W końcu lat trzydziestych ubiegłego stulecia też nas nadmiernie absorbowwały polskie spory polityczne, a nie do końca uświadamiano wielki wymiar zagrożeń. Z miejsca wyjaśniam, że naturalnie dzisiaj czasy i zagrożenia są zgoła inne.

Jestem dogłębnie przekonany, że Polska może i winna odegrać znaczącą rolę w pchnięciu naszego kontynentu na tor pełnej modernizacji gospodarczej, na tor szybkiego rozwoju. Liczę na uaktywnienie się Ruchu Europejskiego także i w Polsce, na przyszkolnie i przyuczelniane Kluby Europejskie. Wszak jak już pisałem, uderza mnie, iż młodzi dziś lepiej od starszego pokolenia widzą potrzebę boju o naszą wspólną ogólnoeuropejską przyszłość. Pytam między innymi Wojciecha Morawskiego, profesora w Liceum im. Oskara Kolberga w Kościanie, tym bardzo europejskim mieście oraz jego zainteresowanych taką problematyką uczniów, np. członków licealnego klubu europejskiego - o stopień ich świadomości potrzeby boju o na wskroś nowoczesną i ekonomicznie dobrze stojącą Europę?

24 grudnia

Czytelnik (22-letni student) pyta o me prognozy wigilijne, o me prognozy na najbliższą przyszłość. Dodaje: „u nas w kraju można popaść w desperację. Zbyt wielu naszych polityków i publicystów gada tylko o przeszłości, pasjonuje się

wyjaśnianiem spraw nie do wyjaśniania i rozrachunkami sprzed dziesiątków lat. Mamy tego po uszy. Chcemy walczyć o lepsze jutro. W pełni popieram Pańską koncepcję europejskiego New Dealu, nakręcania koniunktury, wielkiej modernizacji Europy. Ostatnio pokazywałem Polskę młodej Francuzce. Wstydziałem się naszych kolei. O wiele za wolno jeżdżą. Zdumiewało to dziewczynę przyzwyczajoną do TGV.” Odpowiadam temu czytelnikowi, iż ostatnio byłem w Polsce. Jest faktem, że chyba za wiele szumu robią obsesjonaci przeszłości oraz dotyczących minionych czasów dochodzeń i rozrachunków. Moim zdaniem, trzeba wysoko stawiać świadomość historyczną, składać hołd pięknym przykładom walki o wolność, ale nie można dopuścić do tego, by przeszłość zdominowała nasze obecne życie polityczne. Odwracała uwagę od konieczności pchnięcia Polski i całej Unii na tor szybkiego unowocześniania się. Wszak pilnie trzeba przyhamować bezrobocie - owo bezrobocie, które jest kapitalnym absurdem w okresie, gdy tyle jest do zrobienia, by zmodernizować nasz kontynent, doścignąć gdy idzie o unowocześnianie się np. Chiny! Inna rzecz, że taka pozytywna europejska „przyszłościowa rewolucja” wymaga pełnego wyzwolenia się z modnych w ostatnich 30 latach idiotycznych teorii ekonomicznych, owego leseferyzmu, który w dużej mierze spowodował obecny kryzys.

25 grudnia

Mocnym i bardzo pozytywnym echem odbił się tu fakt, że Benedykt XVI ułaskawił byłego kamerdynera Paola Gabriele, skazanego na karę więzienia za wynoszenie z Watykanu ściśle tajnych dokumentów i przekazywanie ich jednemu z włoskich dziennikarzy. Wielki dziennik „Le Figaro” poświęca pięknemu gestowi Ojca Świętego wiele uwagi, spory tytuł na pierwszej stronie numeru z 24 grudnia, zdobny dużym zdjęciem Benedykta XVI i Paola Gabriela w czasie jakiejś ceremonii watykańskiej. A na stronie dziewiątej pismo to przynosi duży artykuł o całej tej „aferze” oraz zdjęcie Papieża rozmawiającego w sobotę 22 grudnia ze swym byłym kamerdynerem w jego watykańskiej celi więziennej. Jeden z przyjaciół podkreśla, że ten „święteczny” gest owego wielkiego Papieża winien też nam, Polakom przypomnieć, że katolicyzm jest religią miłości bliźniego, przebaczenia i pojednania.

Wszak czasem niektórzy wierzący dają się w naszym kraju ponieść skłonności do gniewu czy nienawiści, co jest w sposób rzucający się w oczy sprzeczne z nauką Ewangelii, z nauką naszej wiary.

26 grudnia

Wczoraj wieczorem telefon z Kanady. Wysoce inteligentny i mający tam od lat „dużą pozycję” rodak dzwonił by zwrócić mi uwagę na mocny wydźwięk i wielki sukces „za Atlantykiem” najnowszej książki Anne Applebaum (Radosławowej Sikorskiej), książki pt. „Iron Curtain - The Crushing of Eastern Europe 1944-1956”. Autorka, która dotarła do rewelacyjnych materiałów archiwalnych, w tym dotąd nieznanych czy mało znanych źródeł w języku angielskim, dosadnie przedstawia ponoć grę komunistów, ich początkowe „mydlenie oczu” świata oraz następnie już jawnie totalitarne metody. Według mego rozmówcy ta książka ma, tam za Atlantykiem, ogromne znaczenie: jasno i w sposób naprawdę przekonujący odsłania „całą prawdę”. Wiele wnosi w autentyczne zrozumienie przez inteligencję USA i Kanady wszystkich aspektów dramatu owych lat. Skądinąd, jak też wynika ze słów mego rozmówcy, Applebaum, ceniona współpracowniczka np. „The Washington Post”, osoba o dużym autorytecie, niewątpliwie pozytywnie wpływa na obraz Polaków w Ameryce Północnej. Jej inna książka (napisana wspólnie ze znaną publicystką Danielą Crittenden), nosząca tytuł „Przepisy z mego ogrodu” wykazuje wielkie wyrefinowanie tradycyjnej polskiej kuchni, która bynajmniej nie jest „prymitywną”, zbyt słoną i zbyt tłustą. Jednym słowem - Anne Applebaum, pani na dworku w Chobielinie, pokazuje Anglosasom zarówno niedawno minioną tragedię Polski i Polaków, jak i ich tradycyjny, wysoce kulturalny styl życia. Jak słyhać, Anne i jej mąż Radosław są głęboko przywiązani do najlepszych angielskich tradycji. Wspomnę więc tylko, ja świadek niedawno startej z powierzchni przez krwawe totalitaryzmy epoki, iż życie polskich dworów i dworków mocno przypominało styl zachowania brytyjskiej, prowincjonalnej gentry (ziemiaństwo angielskie - dop. TM).

Wybr. i oprac.

TERESA MASŁOWSKA



Kapitan Henryk Krzyżański, ps. „Stefan”, „Ptak” Fot. ze zbiorów rodzinnych

Oficer do zadań specjalnych

Kapitan Henryk Krzyżański, przystojny, wysportowany, z nienagannymi manierami absolwenta Korpusu Kadetów w Rawiczu, był rasowym oficerem. Uczestnik kampanii wrześniowej, zastępca dowódcy Piotrkowskiego Kedywu, podczas „Burzy” w kwatremistrzostwie 25 pułku piechoty Armii Krajowej. Po kapitulacji wrócił do Piotrkowa Trybunalskiego i włączył się w konspirację. Los rzucił do tego miasta także rodzinę Mikołajczaków z Gniezna.

- Henryka znałam od 1940 roku. Nasze mieszkanie przy sklepiku, który prowadził mój ojciec Lucjan, było punktem kontaktowym Piotrkowskiego Kedywu. W AK była prawie cała nasza rodzina, najstarsza siostra Ewa była szefem łączniczek Piotrkowskiego Kedywu, ja - łączniczką. W 1942 r. Heniu odbierał ode mnie Akowską przysięgę. Był niezwykle odważny, powiedziałabym nawet, że nieustraszony i potrafił zachować spokój w najbardziej niebezpiecznych sytuacjach. Po wojnie wróciliśmy do Gniezna, pobraliśmy się w 1946 roku. Jak mnie ktoś pyta, kiedy między nami narodziło się uczucie, nie umiem podać konkretnej daty, ale był moją wielką miłością - opowiada Maria Krzyżańska.

Przełożeni także dostrzegali zalety

charakteru młodego podporucznika. W maju 1943 r. szefem Kedywu w Obwodzie Piotrkowskim został Hilary Moraczewski, ps. „Morus”, jego zastępcą i prawą ręką mianowano Krzyżańskiego, ps. „Stefan”. Przyjaźnili się, doskonale rozumieli i uzupełniali w konspiracyjnej robocie.

- Było to bardzo trafne posunięcie personalne „Gaja” [Adam Trybus - szef Kedywu Okręgu Łódzkiego AK - przyp. red.]. Ci dwaj oficerowie współpracujący ze sobą na co dzień, doskonale się uzupełniali. „Morus” miał duże umiejętności zjednywania sobie ludzi do realizacji zadań, co ułatwiało tworzenie zespołów dywersyjnych na terenie obwodu. Znający go bliżej podkreślają, że pseudonim którego używał, jak najbardziej odzwierciedlał jego osobowość. Podporucznik „Stefan”, pełniący wkrótce funkcję zastępcy „Morusa” i jednocześnie dowódcy Zespołu Dyspozycyjnego bardzo precyzyjnie przygotowywał planowane akcje bojowe, a gdy sam był ich wykonawcą - bezbłędnie je przeprowadzał - piszą autorzy monografii 25 pułku piechoty AK.

Tocząc walkę z okupantem Piotrkowski Kedyw, w tym grupa Krzyżańskiego, przeprowadził sporo udanych akcji. W nocy z 24 na 25 listopada 1943 r. pod kryptonimem „Taśma” odbyła się zakrojona na szeroką skalę

akcja dywersyjna. Komenda Główna AK wydała rozkaz zniszczenia strażnic Grenzschtzu pilnującego granicy między obszarem włączonym do Rzeszy a Generalnym Gubernatorstwem. Oddziałom Obwodu Piotrkowskiego przypadło zadanie zniszczenia strażnicy w Wodzinku koło Serocka. Dowodził Moraczewski, Krzyżański zajął się rozpoznaniem obiektu. Placówka stała przy ruchliwej szosie z Łodzi do Piotrkowa, co stanowiło dodatkowe utrudnienie. Przygotowanie musiało być perfekcyjne; zerwano łączność telefoniczną, zablokowano posterunek granatowej policji w Serocku, w pogotowiu czekały wozy z kołami do szybkiego odskoku, przy okazji chłopcy dali baty kilku folksdojczom. Akcja powiodła się, strażnicę spalono, zdobyto nieco broni, trzech partyzantów odniosło rany, po niemieckiej stronie było kilkunastu zabitych i rannych.

Kedyw zajmował się nie tylko sabotażem i dywersją, ale także likwidowaniem konfidentów, wyjątkowo okrutnych gestapowców, czy granatowych policjantów. Na przełomie 1943/1944 roku nasiliło się „oczyszczanie” obwodu ze zdrajców. Oddział dywersyjny Henryka Krzyżańskiego także podejmował się wykonania wyroków. Próżno szukać szczegółów tych zadań. Wiadomo jednak, że w Piotrkowie zlikwidowano ponad dwadzieścia osób, zdecydowano się również na jednodniową akcję likwidacji kilkunastu konfidentów, po której znacznie zmniejszyła się liczba donosów i wpadek. Dowództwo Piotrkowskiego Kedywu spotykało się w lokalu kontaktowym Mikołajczaków.

- Czasem w czasie tych narad wydawano wyroki. Z tego, co pamiętam padło na kilku granatowych policjantów, szefa urzędu zatrudnienia, który kierował na roboty przymusowe do Niemiec, jednego gestapowca i konfidentów. Mąż nigdy o tym nie opowiadał, raz tylko przyznał: - Strzelić do człowieka z tak bliska jest bardzo trudno...

Długo by wliczać akcje, które przygotowywał lub w których uczestniczył Henryk Krzyżański. Warto wspomnieć o zdobyciu transportu ze skórą. Latem 1943



Maria Krzyżańska, ps. „Mała”
Fot. ze zbiorów rodzinnych

► r. jego oddział zatrzymał pod Sulejowem samochód, błyskawicznie rozbroił sześciu żandarmerów i przejął towar oraz dwa pistolety maszynowe, broń krótką i granaty. Skóry prędko załadowano na wozy odjechano z miejsca zdarzenia. Zdobytna skóra posłużyła później na buty dla żołnierzy 25 pp AK. Zdobywanie broni także należało do zadań oddziałów Kedywu. W biały dzień w centrum Piotrkowa Akowcy pod dowództwem podporucznika Krzyżańskiego rozbroili wartowników fabryki sklejk „Panel” rekwirując rkm, karabiny, broń krótką oraz amunicję. Wszystko sprawnie załadowano do dorożki i dobrze ukryto. W podobnej akcji w Bujnach koło Piotrkowa zimą 1944 r., której pomysłodawcami byli „Morus” i „Stefan”, żołnierze w niemieckich mundurach napadli na strażnicę zdobywając broń, amunicję, mundury, koce i lekarstwa.

Latem 1944 r. rozpoczęła się akcja „Burza”. W lipcu z oddziałów partyzanckich i dywersyjnych Inspektoratu Piotrkowskiego uformował się 25 pułk piechoty AK. Podporucznik Krzyżański został przydzielony do kwaterymistrzostwa. Służba ciężka i odpowiedzialna, bo żeby zdobyć

zaopatrzenie trzeba było przejąć niemiecki transport żywności, a nawet zrobić skok na bank. Przydało się doświadczenie „Stefana” z poprzednich akcji.

Niemcy zaczęli obrywać na wszystkich frontach, koniec wojennego koszmaru wydawał się bliski, więc i zasad konspiracji przestrzegano jakby trochę mniej.

- W październiku 1944 r. gestapo wpadło do naszego domu, aresztowało mnie i siostrę Ewę – opowiada Maria Krzyżańska. – Henryk akurat nocował w izbie po drugiej stronie korytarza. Wtedy pierwszy raz był bliski stracenia głowy; bił się z myślami, czekać czy uderzyć, ale ile mógł zdziałać sam z jednym pistoletem? Już po wszystkim powiedział, że to były dla niego najtrudniejsze chwile w życiu. Szczęściem gestapo nie przeprowadziło rewizji, a w mieszkaniu było pełno obciążających materiałów.

Po zwolnieniu sióstr rodzina Mikołajczaków była spalona, musiała opuścić Piotrków. Ewa i Maria pojechały do Wolborza. Ale pech ich nie opuszczał. W Bożego Narodzenia Krzyżański pojechał odwiedzić chorą matkę w Piotrkowie. Tam aresztowało go gestapo. I pomyśleć, że już 17 stycznia 1945 r. po Niemcach nie było po nich śladu.

- Zdążyli jeszcze tak go skatować, że wrócił cały posiniaczony. Jak zwykle nie opowiadał o szczegółach, raz tylko stwierdził, że trudno wytrzymać w masce przeciwgazowej bez powietrza. Zachował się jego gryps: - Przyślijcie mi gnata, bo chcemy się stąd uwolnić. A że broni nikt nie dostarczył, więc więźniowie wyrwali nogi od stołu i bezskutecznie próbowali uwolnić się sami. Powieziono ich pociągiem do Koluszek. Wreszcie uciekli, kiedy pociąg stanął, bo zaczął się radziecki nalot. Idąc lasami przyszedł do mnie do Wolborza, gdzie cały czas na niego czekałam.

Po wojnie, wtedy już kapitan, Henryk Krzyżański nie zaznał spokoju. Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa robili rewizje i naloty na ich gnieźnieńskie mieszkanie. W 1953 r. przez pewien okres ukrywał się u nich Akowiec z

Piotrkowa Kazimierz Załęski „Bończa”. Wkrótce UB doszło jego śladem do Krzyżańskich.

- Byłam sama w domu, kiedy rano o piątej rozległo się głośnie walenie do drzwi. Kazia już u nas nie było, jeden z sąsiadów nas ostrzegł, że milicja weszła wokół nas i dzień wcześniej wyjechała. Wpadli do mieszkania jak durnie wymachując pistoletami, przeglądali książki, nawet opukiwali stary piec. Pytali: - A pani wie, gdzie teraz jest mąż, może z jakąś kobietą? Byłam pyskata, więc odparłam, że jak z ładniejszą ode mnie, to nie mam nic przeciwko. Na mnie nie działały ich prowokacje, ale mniej wytrzymała kobieta mogła się załamać po takich insynuacjach.

Kiedy Krzyżański pojawił się w domu został aresztowany, wrócił po kilku dniach. Jako przedwojenny oficer miał ciągłe problemy ze znalezieniem jakiegokolwiek zatrudnienia. Pracodawcy byli bardzo zainteresowani, dopóki nie zobaczyli świadectwa ukończenia Korpusu Kadetów. Krótko po wojnie Krzyżański prowadził wspólnie drogerię, po jej odebraniu, pracował w spółdzielniach w Gnieźnie i Poznaniu. Pod koniec lat 70., on który wydawał się okazem zdrowia, uprawiał sport, świetnie jeździł na nartach, grał w tenisa, koszykówkę, ciężko zachorował. Lekarz uznał, że po latach ujawniły się skutki tamtego pobicia przez gestapo. Zmarł w maju 1979 r.

W Piotrkowie Trybunalskim w kościele poddominikańskim znajduje się tablica poświęcona wiernym towarzyszom broni: majorowi Hilaremu Arturowi Moraczewskiemu i kapitanowi Henrykowi Krzyżańskiemu - absolwentowi Korpusu Kadetów w Rawiczu, uczestnikowi kampanii wrześniowej 1939 roku, zastępcy dowódcy Piotrkowskiego Kedywu AK, oficerowi do zadań specjalnych w okresie „Burzy”, Kawalerowi Orderu Virtuti Militari ufundowana przez rodziny i żołnierzy Armii Krajowej.

TERESA MASŁOWSKA

* Korzystałam z publikacji „Dzieje 25 pp Armii Krajowej” Mirosława Kopy, Aleksandra Arkuszyńskiego, Haliny Kępińskiej-Bazylewicz oraz „Inspektorat Piotrkowski Armii Krajowej w dokumentach i komentarzach” Mirosława Kopy

Liczy się wygrana

Koń wyścigowy wymaga wyjątkowej opieki. To koń wysokiego ryzyka. Szczególnie narażony na kontuzje. Udział w gonitwie, ciężkie codzienne treningi wpływają na psychikę i formę zwierzęcia. Każdy detal składa się na całość. Odpowiednia dieta, trening, odpoczynek. Konia należy rozumieć, rozmawiać z nim, wczuć się w jego emocje, nastrój. Kiedy przychodzi okres wyścigów, wierzchowca musi mieć szczytową formę – opowiadają Monika Krzyskowi i Konrad Brygier, którzy od ponad dwóch lat prowadzą w Darnowie jedyną w okolicy stajnię koni wyścigowych.

Monika i Lucky Moment
Fot. Konrad Brygier



Pierwszy kenter

- Odkąd pamiętam, konie w Darnowie były obecne. Tu jest jeden z oddziałów racockiej hodowli. Jako mały chłopiec obserwowałem klaczki i ogiery pasące się na padokach, tuż za płotem mojego rodzinnego domu. Mogłem to robić godzinami. Nie był to szczególnie powód radości dla mojej mamy – żartuje Konrad.

W końcu zdołał przekonać rodziców i rozpoczął naukę w szkółce jeździeckiej Stajni Koni Racot. Początkowo była to zabawa, rekreacja. Świat koni wciągał go coraz bardziej. Przyszedł czas na wyczyny sportowe i pierwsze małe skoki. Przygoda z wyścigami rozpoczęła się kiedy do Racotu trafił trener z warszawskiego Szulzewca, Sergiusz Zawgorodny. Szkolił przede wszystkim racockie folbluty czyli konie pełnej krwi angielskiej, które obok Arabów, najlepiej nadają się do biegów wyścigowych.

- To on mnie wypatrzył – wspomina Konrad. Moja waga i wzrost czyniły ze mnie potencjalnego dżokeja. Predyspozycje to nie wszystko. Przede wszystkim liczy się ciężka praca. Zaczęły się codzienne treningi. Szkolenie dosiady i techniki. Muszę przyznać, iż miałem dużo samozaparcia. Jeździliśmy na wyścigi do Wrocławia, Warszawy, Sopotu. Trzeba to wszystko było jakoś ze szkołą połączyć. Żeby mama nie narzekała i jakiegoś embargo nie nałożyła – uśmiecha się dżokej.

Konrad poczuł już czym jest kenter czyli szybki galop. Poznał smak emocji i adrenaliny jaki ze sobą niesie sport wyścigowy. Nie chciał z tego rezygnować. Kiedy trener Zawgorodny wrócił

do Warszawy, w wolnym czasie jeździł tam aby trenować pod jego okiem. Wakacje spędzał na Szulzewcu. Po ukończeniu szkoły zaczął pracę na warszawskim torze. Wyrobił licencję dżokejską. To była przepustka i możliwość do przyszłego rozwoju. Przeniósł się do Książa, tu szkolił się pod okiem Grzegorza Wróblewskiego. Jednego z najlepszych trenerów wyścigowych koni przeszkodowych w Polsce.

Zjeździł różne stajnie w całej Polsce. W jednej z nich spotkał Monikę.

- Kocham konie i wyścigi. Znam smak adrenaliny i napięcie jakie towarzyszą dżokejowi przed każdym startem. To jest moja pasja. Chciałam by mogła stać się również sposobem na życie.

Swoje pierwsze kroki stawiała na wrocławskich Partynicach. To tutaj nauczyła się jeździć, zdobyła pierwsze dżokejskie szlify.

- To nie jest łatwy sport. Szczególnie dla kobiety – przyznaje Monika. Konie wyścigowe są świeże, mocne, energiczne. Potrzeba bardzo dużo siły aby je opanować. Wyścigi to ciągła rywalizacja. Trzeba być mocnym fizycznie i psychicznie. A mnie w tym wszystkim najbardziej pociągają konie. Ich siła i delikatność zarazem. Uwielbiam z nimi rozmawiać. Wiem jakie mają potrzeby. Rozumiem te zwierzęta. Konrad jest doskonały technicznie, ja z kolei potrafię odczytać ich emocje, samopoczucie. Wzajemnie się uzupełniamy – śmieje się Monika.

Angielska szkoła

Wielka Brytania ma bardzo długą i bogatą tradycję jeśli chodzi o sport jeździecki. Jest uważana za raj dla młośników wyścigów konnych. Wspólnie zdecydowali się na wyjazd do Anglii. Chcieli

spróbować czegoś innego, przede wszystkim jednak zdobyć szersze doświadczenie i inne spojrzenie na hodowlę koni wyścigowych. W Polsce sport wyścigowy, mimo ogromnej popularności, wciąż ma małe pole rozwoju. Brak odpowiedniej infrastruktury. Są w zasadzie tylko trzy ośrodki, na których rozgrywane są gonitwy; warszawski Szulzewiec, Partynice we Wrocławiu i hipodrom w Sopocie. Młodzi dżokeje pracowali i uczyli się w angielskich stajniach u Johna Ewarta, Nela Lungo czy Johna McShane'a. Nazwiska te może niewiele mówią laikowi, ale w świecie jeździeckim to znani fachowcy w hodowli i treningu koni.

- Dużo jeździłem. Bardzo dużo. Szczególnie zawody przeszkodowe. Myślałem o wyrobieniu angielskiej licencji dżokejskiej. Nie było łatwo. Parokrotnie próbowałem – wspomina Konrad.

- To jest bardzo hermetyczny świat. Ludzie znają się wzajemnie. Komuś z zewnątrz ciężko jest się przebić. Aby zrobić licencję trzeba mieć nazwisko albo wsparcie doświadczonych trenerów. W wyścigach chodzi przecież o duże pieniądze. Właściciele boją się ryzyka. Wolą obstawiać sprawdzonych zawodników. Przekonali się jakie umiejętności i możliwości ma Konrad. Wówczas dużo nam pomogli. Wiedzieli za które sznurki pociągnąć – dopowiada Monika.

Uczona, Szczęśliwy i Złoty

Odwiedzili wiele stajni, zdobyli ogromne doświadczenie. ➔

► Pomyśleli, iż należy wykorzystać wiedzę i umiejętności. Chcieli zrobić coś dla siebie. Zaryzykowali. Wrócili do Polski, aby tutaj spróbować zbudować coś od początku.

- Jak nie teraz to kiedy? – pyta Monika. Mamy po 29 lat. Jesteśmy młodzi, pełni wiary w to, że nam się uda.

W Darnowie otworzyli własną stajnię. Tu jest rodzinny dom Konrada. Gospodarstwo rolne 12 hektarów. Jest więc od czego zacząć. Mają siano, boksy, małe padoki. Jest miejsce na rozbudowę stajni. Z Anglii przywieźli konie, folbluty. Dwie klacze i jednego wałacha o uroczo brzmiących imionach: Scholar Lass (Uczona dziewczyna), Lucky Moment (Szczęśliwa chwila), Golden Profession (Złoty fach).

W Polskim Klubie Wyścigów Konnych w Warszawie ukończyli specjalistyczny kurs, a następnie zdali egzaminy. Konrad otrzymał międzynarodową licencję jeździecką już 13 lat temu. Monika dwa lata temu otrzymała międzynarodową licencję trenerską. Tytuły otworzyły im drogę na tory wyścigowe całego świata. Zaczęła się ciężka praca. Najpierw musieli zorganizować miejsce, w którym konie będą mogły odpocząć. Trzeba było również znaleźć odpowiednie miejsce do treningu. Nieopodal Darnowa wybudowali 1335 metrową piaszczystą bieżnię treningową.

- Dużej filozofii nie było – opowiada z naturalną skromnością Konrad.

Trzeba jednak dbać o to, aby nie było na niej kamieni, dziur. Konie muszą mieć bezpiecznie. No a co bezpieczne dla nich – bezpiecznie też dla mnie – uśmiecha się – tor jest równany codziennie.

- Potrzebna jest jeszcze jedna bieżnia – dodaje Monika. Kiedyś korzystaliśmy z toru na racockim hipodromie. Niestety odmówiono nam. W zasadzie nie wiem dlaczego. W codziennym treningu chodzi o to, aby był urozmaicony. Galop na tym samym odcinku jest męczący. Dla konia i dla jeźdźcy. Koń musi być zrelaksowany, aby osiągać jak najlepsze wyniki. Ciężko pracuje, trzeba mu tę monotonię jakoś uatrakcyjnić.

Jeden z mieszkańców Darnowa, pan Jurek Wasielewski, widząc zapał i determinację młodych ludzi postanowił im pomóc. Zaproponował, iż bezpłatnie odstąpi kawałek swojej ziemi aby mogli tam ćwiczyć. Monika i Konrad są mu bardzo wdzięczni.

Angielski patent

Każdy dzień zaczyna się o godzinie 4.30 kiedy konie dostają śniadanie. Dieta musi być odpowiednio zbalansowana. Trzeba bardzo uważać, aby nie przesadzić.

- Z tymi końmi gorzej jak z dziećmi – uśmiecha się mama Konrada, która towarzyszy nam przy odwiedzinach pupili w stajni. Właśnie zbliża się pora kolacji – Trzeba mieć oko aby nie przesadzić. Wszystko musi być jak w zegarku – dodaje.

Konie czują, że przyszedł czas na posiłek. Radośnie rżną w bokсах. Lucky Moment, Scholar Lass, Golden Profession

mają szczęście. Właściciele bardzo dbają o to, aby niczego im nie brakowało. Stoją w czystych bokсах, wyścielanych gumą i trocinami. Nie ma mowy o wilgoci.

Zanim jednak przyjdzie czas na kolację przed nimi pracowity dzień. Godzinna przerwa po śniadaniu i zaczyna się trening. Każdy koń ćwiczy codziennie, od godziny do północy. Bez wyjątku czy to święta czy niedziela.

- To bardzo wrażliwe stworzenia – opowiada Monika. Koń musi być wypoczęty. Jeśli tak jest wydłuża „fulę” to znaczy wykrok. Im dłuższa „fula”, tym szybszy galop – tłumaczy Monika.

Kentrowanie czyli szybka jazda galopem to podstawa codziennych ćwiczeń. Nie chcą jednak zdradzić szczegółów. Każdy hodowca i właściciel stajni bardzo ich strzeże. To tajemnica zawodowa.

- Przywieźliśmy ze sobą kilka patentów z Anglii – śmieje się Konrad. Mogę tylko powiedzieć, że konie galopują w różnym tempie, na różnym dystansie i z różnym przyspieszeniem.

Pod koniec tego wysiłku konie są „rozstępowane” czyli spacerkiem wracają do stajni. Mają czas na złapanie oddechu. Są kąpane, masowane za pomocą specjalnej derki. O godzinie 14.00 dostają obiad. Po kolacji wychodzą na padok.

„Bomba w górę”

To hasło otwiera sezon wyścigów na Służewcu. W Polsce trwa on od kwietnia do listopada. W Anglii czy w Niemczech można się ścigać praktycznie cały rok. Monika i Konrad startują ze swoimi końmi i w kraju i za granicą. Każdy wyścig to selekcja. Hodowca chce się sprawdzić. Tutaj ocenia się klasę konia, jego możliwości i przygotowanie. Jest to też ogromny prestiż i duże pieniądze. Rozpiętość wygranej jest znaczna. W Polsce, za miejsca w czołówce, są to kwoty od czterech tysięcy złotych do siedemdziesięciu. Podobnie jest za granicą od tysiąca euro do nawet pięćdziesięciu tysięcy za pierwsze miejsce.

- Mamy listę wyścigów. Próbujemy dobrać odpowiedni bieg pod danego konia – opowiada Konrad – najlepiej aby zaczął od czegoś lekkiego. Wówczas będzie miał szansę „rozbiegać” się w trakcie sezonu. Trzeba wiedzieć gdzie, w jakiej stawce i na jakim dystansie można próbować.

- Każdy koń ma inne predyspozycje, możliwości – dodaje Monika – to tak jak z



Wyścig przeszkodowy National Hunt Steeplechase w Wielkiej Brytani.

Konrad jeździ na koniu Kinnaird Park

Fot. Grossick Racing

biegaczami. Jedni nadają się do sprintów, inni to długodystansowcy. Niektóre z nich nabierają prędkości tuż po stracie, inne potrzebują czasu, aby złapać odpowiedni rytm.

W tym roku sezon rozpoczęli nieco później, w sierpniu, w niemieckim Lipizig. Było dużo pracy przy rozbudowie stajni. Początek był dobry. Klacz Scholar Lass była szósta.

Zalety niskich ludzi

Niski dżokej. Dlaczego? Jeździec wyścigowy musi być lekki. Nie może ważyć więcej niż pięćdziesiąt parę kilo. Razem z siodłem. Dla zwykłego jeźdźca dżokejskie siodło musi być nie lada szokiem. Malutkie, lekkie jak piórko. Waży zaledwie pół kilo. Aluminiowe strzemiona, popręgi, półśliśka bardzo cienkie.

Dżokeja waży się przed i po wyścigu. Waga musi się zgadzać, co do grama. Jeśli jest mniejsza po biegu, następuje dyskwalifikacja. Często tak się zdarza.

- Kiedy mam osiem wyścigów danego dnia, ważę się na początku. Muszę pamiętać o tym, aby uzupełniać braki przez cały dzień. Muszę tego dopilnować i korygować. Wypić odpowiednią ilość wody, zjeść sporą ilość czekolady. To nawet przyjemne w odniesieniu do codziennych wyrzeczeń. - żartuje Konrad.

Co ich tak bardzo fascynuje?

- Adrenalina - kontynuuje Konrad - na torze koń osiąga prędkość około 60 km/h na godzinę. Wyścig trwa zaledwie kilka minut. W ciągu tej chwili liczy się tylko koń, ja i przestrzeń, która jest przed nami. Jestem tak skupiony, że zapominam o całym świecie.

- Jak już zaczniesz, jak Cię to wciągnie to już koniec. Przepadłeś - dodaje Monika.

- Dzisiaj już wiem jakie są zalety niskich ludzi - żartuje Konrad.

Jeździec musi zachować zimną krew w każdej sytuacji. Zdarzają się wypadki. Nierzadko śmiertelne. To jest rywalizacja. Wyścig trwa od dwóch do trzech minut. W tym czasie jest bardzo dużo decyzji, które należy podjąć.

- To sport dla silnych i odpornych ludzi. Potrzeba bardzo dużo determinacji i samozaparcia - mówi Monika.

- Dla dżokeja liczy się przede wszystkim wygrana - konkluduje Konrad.

KATARZYNA ŻUREK

Podróże z literaturą Nowogródek i okolice

Po tropieniu śladów Mickiewicza w Kownie nadszedł czas na zrobienia tego samego na Białorusi. Czy miałem strach? No pewnie. Wiadomo reżim Łukaszenki, państwo policyjne, nieznaną zakątek może już nie Europy, a Azji itd. Mimo tego ruszyłem.

Tuż przed granicą skierowałem się do Solecznik. To miasteczko, to ponoć na Litwie największe skupisko Polaków. Mnie tu jednak sprowadziły nade wszystko ślady naszego Wieszcza. W samym miasteczku znajduje się piękny pomnik Adama Mickiewicza. Młody Adam Mickiewicz stoi na białym łuku, który zdobi napis po polsku i litewsku „Miej serce i patrzaj w serce”, a obok autograf Poety. Może warto zaznaczyć, że odślaniał ten pomnik szeroko i u nas znany Vytautas Landsbergis.

Istota jednak mego pobytu w tym miejscu to solecznicki cmentarz. Tu miał Mickiewicz 2 listopada 1821 obserwować obrzęd Dziadów. Tak przynajmniej twierdzą niektórzy Jego biografowie. Jeżeli tak było to musiał Poeta i widzieć znajdujący się na tym cmentarzu nagrobek Michała Wagnera oficera wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego, który poległ w maju 1812 pod Widzami.

Jeżeli już mowa o pomnikach to trzeba też wspomnieć o znajdującym się w Solecznikach pomniku Konstantego Kalinowskiego przywódcy Powstania Styczniowego na Litwie i Białorusi. U stóp zadumanego powstańca leży złamana kosa. Kalinowskiego stracono w Wilnie w 1864. Jakże to wymowny przyczynek do dzisiejszej dyskusji o Powstaniu Styczniowym

Krzyż Maryli

Granice litewsko-białorusko przekraczałem w Bieniakoniach. Kolejka na przejściu nie była duża. Mimo olbrzymiej „biurokracji” (liczne deklaracje i co gorsze należało je wypełnić w języku kraju do którego się wjeżdża) wszystko jakoś dzięki Lilce i chętnym do pomocy białoruskim celnikom i pogranicznikom przeżyłem. I po chwili graniczny mozół został nagrodzony. Na przykościelnym cmentarzu w



Pomnik wieszczka w Nowogródku

Bieniakoniach znajduje się mogiła Maryli Wereszczakówny. Tej w której Adam się kochał i której poświęcał swe wiersze. Nie zdołałem opisać moich uczuć jakich doświadczałem przy tym grobie, mej wdzięczności losowi, że mogłem przy nim stać, zapalić znicz...

Czas jednak naglił. Żegnałem więc niewielki cmentarzyk (zaledwie kilka mogił) i ruszyłem w dalszą drogę. Ulicą noszącą nazwę Adama Mickiewicza ku Bolcienikom. To w tej wiosce spędzała życie Maryla wraz ze swym mężem. Po trzech czy też czterech kilometrach niby typowa białoruska wioseczka, jakieś biedne zabudowania, bałagan znany z polskich PGR, ale jest i wreszcie pałac, piękny i zadbane. Z czerwonej cegły, ze spadzistym dachem, krytym blachą. Nie przystający w żaden sposób do otoczenia. To dawna siedziba Puttkamerów. Stoi na miejscu dawnego dworu, w którym bywał i Adam, i Maryla, Odyniec i Ksawery Deybel, i wielu jeszcze innych. Ten dzisiejszy, wybudowany został w końcu XIX wieku przez wnuka Maryli. Przed dworem, mieszczącym dziś, a jakżeby inaczej biura kołchozu, ale także i bibliotekę i małą izbę pamięci Adama, znajdują się akacje wyrosłe z nasion przysłanych czy też

▶ przywiezionych Maryli przez Antoniego Odyńca.

Kilkaset metrów połą, piaszczystą drogą idziemy ku leśnemu pagórkowi. Po drodze mijamy rozlewisko rzeczki, a raczej rowu. To „morze Maryli”. Rozległy staw w którym kąpią się bez troski miejscowi chłopcy. Po jego minięciu jest dokładnie tak jak pisał Jan Czeczot:

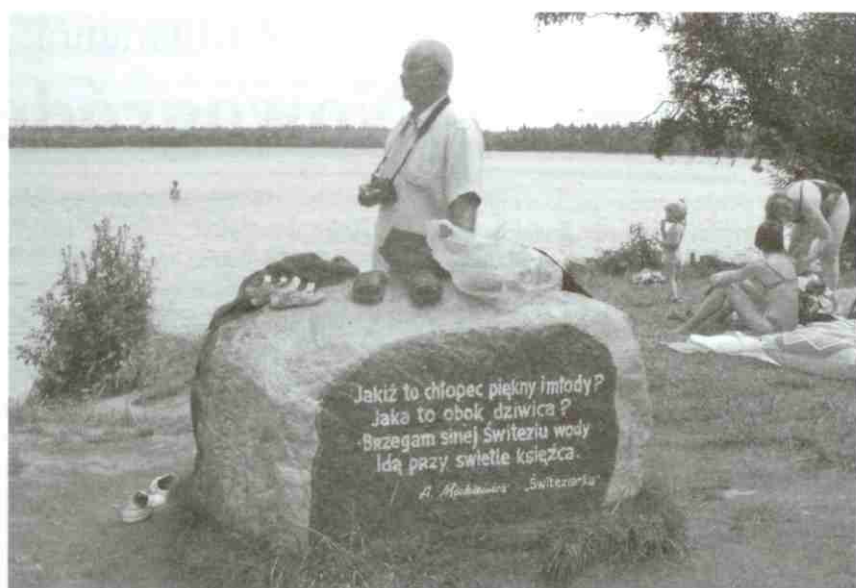
*Za rzeczką, pośród pola czystego
Czy widzisz mały pagórek?
Sosenki wieńczą wierzchołek jego
Ach to Maryli jest borek...*

Na skraju lasu potężny kamień nakazuje skręcić między drzewa. Po kilku krokach dostrzegam najpierw zwykłą ogrodową ławkę, a po chwili płaski, czarny kamień. Na nim, mimo upływu lat, widoczny wryty ręką Maryli krzyż. Tu ponoć spędzała długie godziny i rozpamiętywała swoje i Jego do niej uczucia. Myślę, że także i swe postępowanie. Na tej niepozornej zwykłej ogrodowej ławce siedziałem sporo czasu i trwonilem myśli o tym, jak tym dwojga przed laty się nie udało...

Adam z rozwianym włosiem

Wreszcie czas było ruszyć w dalszą drogę. Po kilkudziesięciu kilometrach Lida. Przepiękny, restaurowany właśnie zamek, sięgający czasów Giedymina. Do jego wnętrza z powodu remontu wejść nie można. Zadawała mnie oglądanie samych murów. Tym bardziej, że w tym nie najmniejszym mieście nie potrafimy znaleźć żadnej restauracji. Głodni ruszamy więc w dalszą drogę. Znowu kilometry prawie pustej, nie najgorszej drogi. Wreszcie cel naszej podróży – Nowogródek. Najpierw szukamy hotelu. Mamy tu przecież przebywać co najmniej kilka dni. Są dwa. Najpierw wybieramy ten z wielce obiecującą nazwą „Pański dom”. Są w nim wolne pokoje, jednak bez łazienek i ubikacji. Taki to i pański hotel. Ten drugi o nazwie „Nowogródek”, z zewnątrz całkowicie socjalistyczny, na całe nasze szczęście, ma wolne pokoje i to z wszelkimi wygodami. Kwaterujemy się. Ruszamy na zwiedzanie miasta Adama Mickiewicza i też coś wreszcie zjeść.

Nie możemy jednak zapominać, że jesteśmy w innym kraju, gdzie inne obyczaje i zwyczaje. Owszem jest restauracja, ale zamknięta. Z jakiego powodu? To proste – przerwy obiado-



Nad jeziorem Świteż. Fot. (2x) ze zbiorów Autora

wej. No niby oczywiście i personel restauracji musi przecież coś zjeść. Zadawałamy się w pobliskim kiosku jakimiś blinami i ruszamy. Najpierw do muzeum.

Mieści się, a jakże, przy placu Lenina. Otoczone zielenią, w zadbanym, odrestaurowanym budynku stylizowanym na dawny szlachecki dworek robi wrażenie swoją schludnością i doбором eksponatów. Sporo obrazów, książki, kopie listów. Na mnie największe wrażenie robi marmurowa tablica poświęcona Mickiewiczowi, a ufundowana przez jego córkę Marię Górecką. Tablica ta była potajemnie w nocy przez Polaków w 1903 wbudowana w ścianę kościoła Dominikanów w Nowogródku. Ocalała po zniszczeniu kościoła w 1941. Niemcy powzięli jednak zamiar jej wywiezienia. Mieszkańcy wykradli ją wówczas i ukryli pod schodami do zakrystii zasypując gruzem. Po wojnie została wydobyta i dziś zdobi salę muzeum na piętrze.

W Nowogródku miejsc związanych mniej lub więcej z Mickiewiczem jest sporo. Wspomnijmy chociaż niektóre z nich. Przy ulicy Zamkowej znajduje się sporych rozmiarów pomnik naszego wieszcza. Piękny, Adam z rozwianym włosiem, w pelerynie, z jedną ręką uniesioną ku górze, jakby do stojących przed nim, przemawiał. Może zachęca do zwiedzenia znajdujących się prawie naprzeciwko niego ruin dawnego zamku Mendoga, o którym pisał w „Grażynie”: „Zamek na barkach nowogródzkiej góry...”, a może zachęca do pójścia dalej, na wzgórze nazywane Małym Zamkiem, gdzie wznosi się

poświęcony mu kopiec. Usypany w latach dwudziestych przez społeczeństwo Ziemi Nowogródzkiej. Zwożono na niego ziemie ze wszystkich miejsc, gdzie był Poeta oraz z różnych stron Polski. Kopiec u swej podstawy ma trzydzieści metrów średnicy i piętnaście metrów wysokości. Na jego szczyt prowadzi ścieżka. Nie bez wysiłku z mej strony poprowadziła mnie na szczyt kopca.

Na Górze Mendoga

Z nowogródzkiej góry lśni w słońcu dachy kościoła farnego. Znowu trochę wysiłku i w jego wnętrzu można patrzeć na wmurowaną w ścianę marmurową tablicę. Na niej napis, że tutaj 12 II 1799 r., chrzczono „dziecię imieniem Adam Bernard, syna Mikołaja i Barbary z Majewskiej Mickiewiczów”. Fara to piękny kościół.

W niej odbywał się ślub Władysława Jagiełły z Sońką Holszańską. Informuje o tym także stosowana tablica. Inna poświęcona jest poległym w latach odzyskiwania niepodległości żołnierzom pułku Strzelców Nowogródzkich. Przed farą jest pomnik jedenastu nazaretanek zamordowanych przez Niemców w 1943 r., a beatyfikowanych przez Jana Pawła II w marcu 2000 r. Jeżeli do tego dodać, że wnętrze kościoła zdobi także portret hetmana i koniuszego Wielkiego Księstwa Litewskiego - Krzysztofa Chodkiewicza z 1637 r., fundatora innego z nowogródzkich kościołów, a w innym miejscu wisi obraz Michała Archanioła, którego elementy podarował farze

Stanisław Kiersnowski po powrocie z Syberii w 1857 r., gdzie przesiedział dwadzieścia sześć lat za udział w powstaniu listopadowym, to coś więcej tu dodać.

Niedaleko od fary wznosi się Góra Mendoga, wspomiana w wielu utworach Adama Mickiewicza. A inne kościoły i cerkwie Nowogródka: kościół Dominikanów, cerkiew Nikołajewska, cerkiew Borysa i Gleba, gdzie znajdować się miał cudowny obraz Matki Boskiej Zamkowej, przed którym mały Adam „za wrócone życie” dziękował Bogu. Oryginał ten zaginął po zabraniu go przez wycofujące się wojska rosyjskie w 1915 r.

Po obejrzeniu cudów Nowogródka stało się to miasto naszym punktem wypadowym po okolicy. Tej najbliższej i tej troszeczkę dalszej. Tam mimo upływu lat i zmian politycznych oraz społecznych wiele technicznie Mickiewiczem i jego poezją. Tym samym przywołuje Polskę i jej kiedyś tu obecność. Te ślady Wieszca i naszego Kraju coraz bardziej zaciera czas. Dam przykład, w „Panu Tadeuszu” jest scena w karczmie, gdy szlachta zaprasza księdza Robaka do siebie. Przywołajmy ich słowa:

„Niechże do Niechrymowa ksiądz na nocleg zdąży...” prosi Ekonom. Z kolei Zubkowski zaprasza do Zubkowa, bo „Szczęśliwy człowiek, trafił jak ksiądz do Zubkowa...”, a Skołuba z Terajewiczem do Pucewicz, ponieważ „Żaden bernardyn głodny nie wyszedł z Pucewicz...”. Te miejscowości w czasach Mickiewicza i Polski oczywiście istniały. A dziś?

Nie było żadnych kłopotów z Niechrymowym. Maleńką wioseczką, zaledwie kilka biednych, domków. Tylko nazwa pisana jest cyrylicą. Natomiast mimo usilnych poszukiwań nie potrafiłem znaleźć Pucewicz i Zubkowa. Mimo, że stare mapy dość dokładnie pokazywały ich położenie. Wreszcie po kilkakrotnych pytaniach okazuje się, że Pucewicz wchłonął Nowogródek, a Zubkowo nazwą się dziś Niewaszojszczyzna.

Istnieje Cyryn. Tak jak w balladzie: „Dano więc na msze w niejednym kościele. I ksiądz przyjechał z Cyryna”. Jest Litówka, przepiękne jezioro otoczone lasami, zaledwie kilka kilometrów od Nowogródka, to w jej okolicach mieli ponieść klęskę Krzyżacy, co legło u podstaw poematu „Grażyna”. Dalej jest maleńka wioska nosząca nazwę Płużyny Dąbrowa i stąd też w balladzie „do Płużyn ciemnego boru wjechałszy”. Nie lubił bowiem Mickiewicz, jak pisał Julian Przyboś, zmyślać.

Opisywał tylko to co widział i poznał. Są więc i dziesiątki dalszych miejsc znanych z jego twórczości.

Pierwsza miłość

Nie potrafię oddać uroku małej cerkiewki i otaczającego ją wiejskiego cmentarzyka w Górnej Rudzie To w tej okolicy Mickiewicz spotkał swą pierwszą miłość – Joasię. A Wałówka, gdzie według podań Tadeusz brał ślub z Zosią, a Saplice, skąd nazwa Soplicowa w narodowej epopei. Długo tak jeszcze można wyliczać. Czas spowodował, że znikła miejscowość o nazwie Tuchanowicz. Została wchłonięta przez pobliską Korczowę, ale park tuchanowicki pozostał. Pozostała też „altana Maryli”. Dziś co prawda nie tworzy ją jak kiedyś dwanaście lip, ale znacznie mniej, a mimo to patrząc na to miejsce niepodobna nie przypomnieć sobie słów Gustawa z IV części Dziadów: „Altano mego szczęścia kolebko i grobie”. Chodzenie po alejkach parku, po alejkach, którymi chodziła ta najpiękniejsza miłość naszej literatury pozostawia niezatarte wrażenie.

Tuż obok Korczowej, w lesie jest stynny „głaz Filaretów”. Droga do niego odrobinę skomplikowana, ale dzięki miejscowym trafiliśmy. To przy tym kamieniu spotykali się Zan, Mickiewicz, Czeczot, Domeyko i Malewski. Tu Adam czytał przyjaciółom swoje poezje. Urok tego miejsca, przedpołudniowe promienie słońca przebijające się przez liście drzew, cisza i spokój, coś dodać więcej...

Świtezianka na kamieniu

Wreszcie jezioro Świtez. Najpierw widoczne z drogi Nowogródek-Baranowicz. Samo jezioro, takie jak widział je Mickiewicz: w kształcie wielkiego obwodu, urocze i piękne. Tylko jego otoczenie. To najbardziej chyba znane u nas jezioro, jest jedynym jeziorem w okolicach Nowogródka. Nic więc przecież dziwnego w tym, że roi się tu od plażujących i kąpielących się. Mimo to razi mnie jak widzę, że na kamieniu stojącym u jego brzegów, z fragmentem „Świtezianki” suszą się kąpielowe kostiumy. To jednak terytorium innego państwa, inna kultura i inny alfabet. Wspomniany przeze mnie fragment „Świtezianki” napisany jest alfabetem łańskim. Trzeba to cenić mimo licznych na tablicy błędów.

Nad jeziorem znajduje się sanatorium. Przyjmuje ono, jak wynika z przewodnika, także za odpowiednią opłatą i turystów.

Pragnąc znaleźć choć trochę z nastroju mickiewiczowskich ballad chciałem w nim zamieszkać. Nic jednak z tego, jak zrozumiałem ze słów dyrektorki, jest to możliwe, ale poza miesiącami letnimi.

Jeszcze kilka razy wracałem nad Świtez, na pewno z powodu pogody ludzi nad nim nie ubywało. Kolejnego więc dnia pojechałem do Zaosia. Miejsca urodzin Mickiewicza. Być może moja peregrynacja Nowogródzczyzny powinna się rozpocząć od tego miejsca. W 1996 zrekonstruowano dwór. Przepięknie. Są tu kopie osiemnastowiecznych mebli, w siedmiu pomieszczeniach, kopie obrazów, m.in. ilustracje Andriollego do Pana Tadeusza, portrety Kościuszki, Rejtana i Jasińskiego, wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej liczne książki etc.

Zrekonstruowano także całe obejście w tym przede wszystkim tzw. Świrom, w którym w czasie swych letnich pobytów w Zaosiu miał przebywać Adam Mickiewicz. Jeżeli ktoś odwiedzi te strony, ażeby nie zepsuł sobie wspaniałych wrażeń, przestrzegam nie powinien korzystać z miejscowej ubikacji.

Nadszedł czas pożegnania się z Nowogródkiem i z krainą wypetloną „pagórkami leśnymi, łąkami zielonymi, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągniętymi”. Jednak nie z Białorusią. Jechaliśmy w kierunku Grodna. Po drodze wstąpiliśmy do Mereczowszczyzny, miejsca urodzin Tadeusza Kościuszki. To już jednak inna opowieść. Przed wejściem do tego muzeum znajduje się spory głaz, a nam tabliczka obwieszająca zwiedzającym, że Kościuszko to „syn narodu białoruskiego, który potem został bohaterem narodowym Polski”. Możemy to uznać za oficjalną propagandę. Cóż jednak powiedzieć, gdy współczesny białoruski poeta, Eduard Akulin w swoim ładnym skądinąd wierszu zatytułowanym „Na kurhanie Adama Mickiewicza” między innymi pisze:

*Litwo, Ojczyzno
- czytał Polak,
a serce słyszy
szepc: Białorus*

Może więc czas przyzwyczać się do myśli, że Adam Mickiewicz należy także i do innych narodów?

ZDZISŁAW WOJTCZAK



Tablica pamięci ppor. Tadeusza Nowaka w Kościanie

Fot. Bogdan Ludowicz

Pseudonim „Rządca” (2)

Ppor. Tadeusz Nowak nie został przez historyków zapomniany, bo próby umiejscowienia go w historii oręźa wielkopolskiego były w przeszłości częste i liczne. Ale faktem jest także, że na podkreślenie jego zasług dla Ojczyzny i uznanie właściwej roli, jaką odegrał w tworzeniu ogniw Polskiego Państwa Podziemnego w południowo – zachodniej Wielkopolsce trzeba było długo czekać. Analiza ludzkich życiorysów nie należy do łatwych zadań, zwłaszcza życiorysów konspiratorów, owianych licznymi tajemnicami. Z perspektywy lat można napisać, że w biografistycznych badaniach koncentrowaliśmy się na postaciach, które przez długi czas przebywały w środowiskach lokalnych i w tychże środowiskach pozostały ich rodziny. Pewną manierą było i jest powielanie przez następców ocen, zawartych w pierwszych publikacjach naukowych, bez weryfikacji czy wręcz podjęcia próby własnych archiwalnych dociekań.

W przypadku ppor. Tadeusza Nowaka pojawiła się jeszcze jedna okoliczność, wprowadzająca zamieszanie w tak podstawowej kwestii, jaką było jednoznaczne zidentyfikowanie osoby. Wiadomo Nowak to nazwisko bardzo popularne w Wielkopolsce. W konspiracji 1939-1945 działało wielu Nowaków. Był wśród nich także działacz ruchu Ludowego, członek Stronnictwa Ludowego i Polskiego Stronnictwa Ludowego, komendant X Okręgu Batalionów Chłopskich w Poznaniu, współorganizator w 1942 roku Biura Okręgowej Delegatury Rządu RP w Poznaniu – Tadeusz Nowak (1913 – 1994) ps. „Gromada”. W niektórych dotychczasowych opracowaniach ppor. Tadeuszowi Nowakowi przypisywano związki z ruchem ludowym, łącznie z pseudonimem. Otóż twórca wojskowej konspiracji w Kościanie miał jeden pseudonim tj. „Rządca”, co zapewne wiązało się ze stanowiskiem, jakie zajmował przed wojną w miejskich szpitalach w Poznaniu.

Rejestr wielkopolskich Nowaków jest długi. Na przykład plut. Floriana Nowaka (1913 – 1942) - żołnierza Narodowej Organizacji Wojskowej - stracono w więzieniu przy ul. Młyńskiej w Poznaniu; ppor. Ludwik

Nowak (1900 – 1966) był członkiem Tajnej Organizacji Wojskowej w Ostrowie, więźniem katowni gestapo i niemieckich obozów koncentracyjnych; kpr. Walenty Nowak (1911 – 1942) – dowódca placówki Sołacz–Winiary Wojskowej Organizacji Ziem Zachodnich w Poznaniu (WOZZ), skazany karę śmierci, stracony został w więzieniu Berlin – Plötzensee.

Najwięcej jednak trudności w identyfikacji Nowaków w naszym przypadku sprawiał fakt, że łącznikiem w Inspektoracie Rejonowym ZWZ/AK w Lesznie był nauczyciel z Przysieki Starej k. Kościana ppor. Mieczysław Nowak ps. „Biegacz”. W relacjach kościańskich akowców często myli się go z naszym „Rządcą”. W czasie generalnej „wsypy” w strukturach Armii Krajowej w południowo – zachodniej Wielkopolsce por. Mieczysław Nowak, rozpoznany przez gestapo na dworcu w Lesznie, próbował uciekać i 27 czerwca 1944 roku został zastrzelony.

*

W strukturach konspiracji wojskowej w Wielkopolsce ppor. Tadeusza Nowaka umiejscowił historyk młodszego pokolenia, prezes Instytutu im. Stefana „Grota” Roweckiego dr Waldemar Handke (Kryptonim „Ptaszarnia”.

Inspektorat Rejonowy ZWZ-AK Leszno, Leszno 2006). Słusznie podważył on przez długi czas upowszechnianą tezę, że kościańskie ogniwa ZWZ/AK utworzone zostały przez łączników z Leszna i tym samym postawił kropkę nad „i”, pisząc:

„(...) Wypada w tym miejscu wspomnieć ppor. Tadeusza Nowaka, który został skierowany z Poznania do tworzenia struktur obwodowych ZWZ w Kościanie, był też pierwszym komendantem obwodu, zaprzysiął pierwszych konspiratorów, wśród nich ppor. Franciszka Bawora i podchor. Lecha Kozłowskiego. W marcu 1941 r. Obwód ZWZ Kościan został włączony do Inspektoratu ZWZ w Lesznie (...)”.

Kościańska misja ppor. Tadeusza Nowaka - w świetle obecnie znanych nam dokumentów - przedstawia się następująco. Skaut poznański, Powstańca Wielkopolski, uczestnik wojny polsko – bolszewickiej, kawaler Krzyża Walecznych, Wielkopolec z krwi i kości, ps. „Rządca” z dniem 1 sierpnia 1940 r. skierowany zostaje do pracy jako księgowy w niemieckiej firmie. W mieście zjawia się 7 sierpnia i poszukuje mieszkania. Znajduje je tego samego dnia u mistrza piekarskiego Jana Zielińskiego w domu przy Posenerstrasse 31 (numeracja domów w czasie okupacji

ulegała częstej zmianie). Posenerstrasse czyli przedwojenna ulica Poznańska, obecnie Marszałka Józefa Piłsudskiego, z punktu widzenia konspiracji wojskowej miała szczególnie znaczenie – na niej mieszkali licznie harcerze, Powstańcy Wielkopolscy, a pierwsze wywłaszczenia sprawiły, że w ten rejon miasta przeniosły się wyrzucone z lepszych lokali rodziny oficerów i podoficerów WP, a także liczni działacze przedwojennego Stronnictwa Narodowego.

Dom, w którym mieszkał „Rządca” leżał blisko linii kolejowej Poznań – Wrocław miał dwa wyjścia, na zapleczu połączenia z sąsiednimi kamienicami, na dodatek ogrody za domem dawały możliwość spotkań i swobodnego poruszania się o każdej porze dnia równoległe do ulicy. Istniało jednak też zagrożenie – w sąsiedztwie zajmował mieszkanie zastępca szefa zamiejscowej placówki gestapo w Kościanie SS-Sturmbannführer Georg Böhm, niedoszły pastor, rodem z Legnicy, znający język niemiecki. Ale o tym Nowak dowiedział się szybko i wykazywał wielką czujność.

Pierwsze kontakty nawiązał z podchor. Lechem Kozłowskim, który mieszkał kilka domów obok i z ppor. rez. Franciszkiem Baworem, z którym spotykał się zawodowo. Bawor bowiem był księgowym w niemieckim majątku w Gryźynie pod Kościanem. Ta trójka stworzyła pierwszą placówkę Związku Walki Zbrojnej w Kościanie i rozpoczęła tworzenie struktur powiatowych. Niewątpliwie byli najpierw zdani na znajomość ludzi i terenu, jaką posiadał najmłodszy z nich Kozłowski. Można założyć, że to oni pozyskali dla konspiracji m.in. późniejszego komendanta obwodu ZWZ/AK rtm. Leona Ciszaka ps. „Cyryl”, jego zastępcę podchor. Jana Witkowskiego ps. „Metody” i prof. Klemensa Kruszewskiego ps. „Krusz”. Praca organizacyjna wymagała czasu – włączenie zorganizowanego już kościańskiego obwodu ZWZ do rejonu ZWZ w Lesznie nastąpiło w kwietniu 1941 roku. I jest to niewątpliwie zasługa „Rządcy”. Te ustalenia powodują, że placówka ZWZ w Kościanie powstała wiosną czy latem 1940 r. wymagając bezwzględnie skorygowania. Otóż powstała później – wraz z przyjazdem

Nowaka do Kościana.

Jest też pewne, że ppor. Tadeusz Nowak próbował nawiązać kontakt z istniejącą w Kościanie od stycznia 1940 roku placówką Narodowej Organizacji Bojowej, prowadzoną przez Edwarda Fabiańczyka i sierż. Teofila Skrzypczaka. Wynika to z relacji śp. mjr rez. Edwarda Stróżyka, który znał „Rządcę” i kilkakrotnie z nim rozmawiał. Mediacje te przerwały „wsypy”, mające źródło w poznańskich strukturach ZWZ i NOB. W Kościanie w 1941 roku aresztowano – w niezależnych od siebie sprawach – zarówno Nowaka, jak też Fabiańczyka i Skrzypczaka. Godzi się podkreślić, że wspomniane aresztowania nie pociągnęły za sobą całkowitej dekonspiracji kościańskich ogniw ZWZ i NOB, z czego można wnioskować, że lokalni przywódcy tych organizacji w czasie ciężkiego śledztwa zachowali wierność przysięgom, nie zdradzili tajemnicy, za co cała „trójka” zapłaciła za to w 1942 roku cenę własnego życia.

*

Po wojnie, z określeniem struktur konspiracji wojskowej i z identyfikacją Tadeusza Nowaka mieli kłopoty nie tylko historycy, ale także funkcjonariusze i konfidenci bezpieki, którzy – nie wiedząc o jego śmierci – poszukiwali go bardzo długo. Materiały archiwalne w odniesieniu do tego tematu zawierają – obok prawdziwych – informacje całkowicie bzdurne, świadczące o wtórnym analfabetyzmie historycznym ich autorów. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie w analizie z 23 maja 1950 roku stwierdzał np.:

„(...) W czasie okupacji końcem 1939 roku na terenie powiatu kościańskiego zorganizowana przez łącznika inspektoratu por. Nowaka Tadeusza z Leszna organizacja A.K., o którym to dotąd nie posiadamy bliższych danych z uwagi na nieustalone miejsce zamieszkania. W pierwszych początkach swej pracy organizacyjnej na terenie powiatu kościańskiego zawerbował on do organizacji A.K. Ciszaka Leona, Kruszewskiego Klemensa, Witkowskiego Jana – wszyscy zamieszkali w Kościanie. Ci z kolei wyłonili z siebie Komendę Obwodu(...)”.

3 lutego 1951 roku w specjalnym raporcie, skierowanym do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicz-

nego w Poznaniu, kościańska bezpieka pisała:

„(...) Z początkiem 1940 r. na terenie powiatu kościańskiego została zorganizowana organizacja wojskowa typu wojskowego o zabarwieniu sanacyjnym A.K. Organizatorem tejże organizacji był członek Komendy Okręgu A.K. Poznań obywatel Nowak Tadeusz, który jednak po krótkim czasie został aresztowany przez Gestapo w Poznaniu (...)”.

*

Wielu uczestników Zbrojnego Czynu Polaków pozostaje jeszcze w zapomnieniu. Karta bohaterstwa i męczeństwa Wielkopolan nie została całkowicie odkryta. Są na niej liczne puste miejsca, które winny stanowić wyzwanie dla młodych historyków. Ważne jest jednak, by wysiłki badaczy wspierane były przez rodziny żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego. O pamięć o ppor. Tadeuszu Nowaku upomniała się właśnie jego rodzina; szczególnie zaś upomniał się i wziął na siebie ciężar badań jego syn Jerzy Nowak z Warszawy, z którego inicjatywy w 2003 roku na domu, w którym mieszkał w Kościanie „Rządca” umieszczono pamiątkową tablicę. Opiekę nad tablicą od 10 lat obecny właściciel domu, emerytowany mistrz piekarniczy Ryszard Czaplicki. W Kościanie od tamtego czasu odbywają się zjazdy krewnych i znajomych ppor. Tadeusza Nowaka.

Opracowania mgr. Jerzego Nowaka z Warszawy stanowiąc będzie odrębny cykl artykułów w „WK”. W każdym razie – Jerzy, jeśli twój – jak mawiasz – „staruszek” spogląda na ziemię z góry, hen tam z Wiecznej Warty, to jest na pewno dumny, że dzieło pamięci o Nim doprowadziłeś do końca. (Koniec).

JERZY ZIELONKA

Bibliografia: Akta rodzinne Jerzego Nowaka z Warszawy; Dokumenty Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie w zbiorach poznańskiego Oddziału IPN; Zbiory prywatne Jerzego Zielonki z Kościana; Encyklopedia Konspiracji Wielkopolskiej 1939 – 1945 [pod red. Mariana Woźniaka], Poznań 1998; Handke W., Kryptonim „Ptaszarnia”. Inspektorat Rejonowy ZWZ – AK Leszno, Leszno 2006; Polak B., Południowo – zachodnia Wielkopolska w walce z hitlerowskim okupantem 1939-1945, Kościan 1972; Serwański E., Wielkopolska w cieniu swastyki, Warszawa 1970.

Zimą zoo nie śpi

Z górnego balkonu udaje nam się zobaczyć dwa tygrysy. Świadome swojej potęgi i piękna. Wyglądają, jak duże koty, aż chciałoby się je pogłaskać i przytulić, co mogłoby się źle skończyć...



Zima tygrysowi niestraszna

Fot. Teresa Masłowska

Kilkanaście lat temu, kiedy poznańskie nowe zoo wciąż jeszcze się rozwijało, trzeba było się nieźle nachodzić, żeby chociaż z daleka zobaczyć pasące się sarny, czy antylopy. Ale przynajmniej zwierzęta mają w miarę godziwe warunki do życia. Zwiedzających prawie jak na lekarstwo. Jak nigdy, od początku dokładnie wiemy, co chcemy zobaczyć: stonie, tygrysy i wielbłądy. Jesteśmy przygotowani na dłuższą wędrówkę, jako że ogród liczy 117 hektarów, ale to nam akurat odpowiada. Przy bramie wejściowej, zgodnie z mapą, kierujemy się w prawo. Wybieg mały i małpiatek jest pusty, jednak Wielkopolska to nie Madagaskar. Za to w ogromnej wolierze wita nas ostrośep, który ze swym biało-szarym upierzeniem idealnie wtapia się w otoczenie. Tkwi nieruchomo na kamieniu, więc nasze niewprawne oko dostrzeże go dopiero po dłuższym wpatrywaniu się, jak nie przymierzając sroka w kość. Przekonujemy się, że w środku zimy duża część poznańskiego zoo wcale nie śpi.

Wino z tygrysa

Oto są i one. Tygrysy syberyjskie. W poznańskim zoo żyją cztery: Zeus, Kika, Hermes i Tungus. Z górnego balkonu udaje nam się zobaczyć dwa. Jeden leży na śniegu, drugi spaceruje niespokojnie przy ogrodzeniu. Świadome swojej potęgi i piękna. Wyglądają, jak duże koty, aż chciałoby się je pogłaskać i przytulić, co jednak

mogłoby się źle skończyć...

Na wolności tygrysom niestraszne nawet 40 stopni poniżej zera. Żyją na wschodnich krańcach Rosji i granicy rosyjsko-chińskiej. Ten największy drapieżny kot jest zagrożony wyginięciem. Tępiący przez kłusowników, szczególnie ze względu na skórę i kości, które nadal znajdują rzesze nabywców szczególnie w Chinach. W chińskiej astrologii zwierzę uznawane jest za królewskie. Problem w tym, że preparatom z tygrysa wciąż przypisuje się magiczną moc. W Chinach drogo się liczy za wino z dodatkiem mielonej kości tygrysa. Robi się nam zimno. Marzymy o gorącej herbacie, ale afrykańska wioska śpi przysypana śniegiem. Pani w kasie pociesza, że w stoniarni działa automat z napojami.

Bohater skandalu

Stoniarnia to kolejny punkt programu. Maszerujemy dłuższy czas, ale wreszcie naszym oczom ukazuje się ogromny, futurystyczny budynek. Otwieramy drzwi, w nozdrza uderza ciepło i paskudny, duszący smród. Znamy zapach stajni, ale ten tutaj zwala z nóg. Zbieramy drobne, szybko kupujemy gorącą czekoladę i zmiatamy na zewnątrz. Zwykła czekolada z automatu nigdy nie smakuje lepiej niż po długim zimowym spacerze. Ciekawe, że słonie, które jakby nie było kojarzą się z Afryką i ciepłem, także przebywają na zewnątrz. Czyżby im też przeszkadzał ich własny zapach. Kinga, Kizi, Yizik, Ninio i Linda tworzą poznańskie stado. Mają do dyspozycji dość duży teren, ale w śniegu

wydeptały sobie tylko jedną ścieżkę w najdalszy kąt ogrodzenia. Obserwujemy jak te olbrzymy delikatnie stawiają stopy, jakby chciały ominąć nieprzyjemnie zimny grunt.

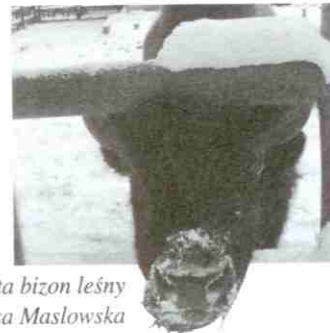
Ninio jest gwiazdą poznańskiego zoo. Kilka lat temu został bohaterem skandalu. Zyskał rozgłos i międzynarodową popularność dzięki poznańskiemu radnemu miejskiemu, który posadził Ninio o odmienną orientację seksualną. Według niego zamiast adorować samice bił je trąbą, za to bardzo interesował się kolegami. Wszystko działo się jeszcze zanim słoń trafił do poznańskiego zoo, ale przed radnym takie sprawy się nie ukrywają, słonia zlustrował i odkrył jego niecne sprawy. W swoim poprzednim, grzesznym życiu Ninio nazywał się Lotkiem, a do Polski przyjechał z Izraela. Potem na krótko wyjechał do Budapesztu, ale tam także rozrabiał i wylądował w Poznaniu. O życiu jego seksualnym rozpisywała się prasa na całym świecie. Od brytyjskiego Independent po hiszpański El País. Podobno podejrzenia radnego były jednak bezpodstawne. Sprawę porównywano do afery z jednym z Teletubisiów, którego rzecznik praw dziecka także oskarżyła o upodobania homoseksualne, bo nosił damską torebkę. Chciałybyśmy w tym miejscu napisać, że to tylko głupi żart, ale niestety to prawda. Cała Europa i pół świata się z nas śmiało.

Hasający w śniegu

Zostawiamy słonie, bo z daleka już widzimy zagrodę wielbłądów. Jesteśmy



Młode hasają po śniegu
Fot. Katarzyna Żurek



Przyjazny i ciekawy świata bizon leśny
Fot. Teresa Masłowska

podeksycytowane. W końcu udało nam się zobaczyć i tygrysy, i słonie, a teraz jeszcze wielbłądy. One też nas zauważyły i zbliżają się do siatki, chociaż nie chce nam się wierzyć, żeby ich zainteresowanie było całkiem bezinteresowne. Pewnie zostały zdemoralizowane przez odwiedzających, którzy niepomni zakazu dokarmiania i tak to robią. Mając z tyłu głowy obraz dużego jednogarnbego wielbłąda poznańskie dwugarnbne wydają się małe, ale sympatyczne.

Za to bizon wydaje się prawdziwie spragniony kontaktu z dziwnymi istotami, które stoja za płotem. Wychyla się przez ogrodzenie, tak że prawie oczy wychodzą mu na wierzch. Chciałoby się dotknąć miękkich chrapek, ale się powstrzymujemy. Trzaskamy zdjęcie za zdjęciem, jak japońscy turyści. To chyba młody, który ma dopiero dwa lata i uwielbia bawić się i hasać po śniegu. Bizony leśne wydają się tutaj szczęśliwsze niż nasze żubry w Białowieży. Tamte były smutne i apatyczne, ale może taki ich charakter, przecież te z reklamy piwa wcale nie tryskają energią.

Ptasie radio

Po drodze z rzadka spotykamy rodziny z dziećmi. Pod koniec wycieczki mijają starsza para, która dosyć karkołomnie próbuje poruszać się na biegówkach. Też byśmy takie chciały. Snujemy plany zakupu, ale pewnie na tym się skończy. Naszą motywację dodatkowo osłabia fakt, że w poniedziałek ma zacząć się odwilż.

Okrążamy stawy i wypatrujemy pelikanów. Wydaje nam się, że skoro słonie chodzą po śniegu, to pelikanom zima też niestraszna. Ale nie ma ich, przed pierwszymi mrozami zostały wyłapanie i odstawione na zimowanie. Za to kawałek stawu wolny od lodu wypełnia mnóstwo kaczek krzyżówek, między którymi gdzieś pływają łabędzie. Są wszędzie, obsiadły brzeg stawu, hałasują i baraszkują w wodzie. Jest koło trzeciej po południu, światło o tej porze dnia jest niesamowite, jakby odrobinę cieplejsze, bo przez chmury nieśmiało próbuje przebić się słońce. Zadowolone, że tyle widziałyśmy obieramy najkrótszą drogę do wyjścia. Potem okazało się, że mogłyśmy odbić od stawów w prawo i zobaczyć rysie, jelenie i antylopy. Nadrobimy to przy następnej wizycie.

TERESA MASŁOWSKA
KATARZYNA ŻUREK

Meteoryt, Otjikoto i Nowak



Meteoryt Hoba

Dwoje opolan Małgorzata Skirzewska i Łukasz Smuła odkryli niedawno w okolicach Poznania, a dokładnie na Morasku, największy meteoryt w Polsce i w naszej części regionu. Znajdował się ponad dwa metry w ziemi. Waży dokładnie 261 kg. A gdzie znajduje się największy przybysz z kosmosu w świecie? Jak wygląda i jak został odnaleziony?

Odnaleziono go stosunkowo niedawno, bo zlokalizowano i opisano w roku 1920. Rzecz cała miała miejsce w północnej Namibii, dwadzieścia kilka kilometrów od miasta Grootfontein. Właściciel miejscowej farmy, niejaki Hoba, orząc wołami swoją ziemię w pewnym miejscu stwierdził, że lemiesz o coś zaczepia. Postanowił tę przeszkodę w orce wydobyć z ziemi. Okazało się to z powodu wielkości przeszkody całkowicie niemożliwe. O całej sprawie dowiedział się Jacobus Hermanus Brits – myśliwy i naukowiec – w 1920 r. przeprowadził badania i stwierdził, że przeszkoda w orce Hoba to, ni mniej ni więcej – a meteoryt. Jego wagę szacuje się na 60 ton.

Z kolei pojawiło się pytanie, jak meteoryt znalazł się na ziemi i dlaczego nie rozpadł się na części w atmosferze. Znaczący przedmiot upatrującej tej dziwności w płaskim kształcie meteorytu. Uważają, że wszedłszy w górne warstwy atmosfery na skutek swego kształtu odbijał się od nich i wytracał swą „kosmiczną” prędkość. Zachowywał się podobnie jak kamień rzucony na wodę tzw. kaczka. Wytraciwszy swą szybkość meteoryt opadł na ziemię w sposób niejako naturalny. Stąd

też nie rozbił się i nie zagłębił w ziemię.

Następca Hoba udostępnił meteoryt i fragment ziemi, na którym spoczywał rządowi Południowej Afryki zarządzającemu w tym czasie Namibią. Uznano go wówczas za pomnik przyrody. Po odzyskaniu zaś niepodległości otoczono jeszcze większą troską.

Wracając z Grootfontein do mego miejsca pobytu przejeżdżałem przez Tsumeb. Niewielkie namibijskie miasteczko. Liczące gdzieś około 20 tysięcy mieszkańców. Niewiele przed nim znajduje się nadzwyczaj ciekawe jezioro noszące nazwę Otjikoto. Powierzchnia jeziora to dość regularne koło o średnicy około stu metrów. Stanowi ono lej krasowy o głębokości sięgającej stu metrów. Nie zostało to jeszcze zbadane, ale naukowcy przypuszczają, że łączy się ono z systemem wypełnionych wodą jaskiń, sięgającym



Nad Otjikoto



Muzeum w w Tsumeb
- niemieckie działo wydobyte z Otjikoto
Fot. (3x) ze zbiorów Autora.

► wiele kilometrów. W odległości piętnastu kilometrów od Otjikoto jest bliźniacze jezioro.

Otijkoto zastało jednak czymś innym. Niemieckie oddziały w 1915 r. wobec zbliżającej się ofensywy wojsk angielskich i sprzymierzonych z nimi południowoafrykańskich, zatopiły w nim broń i amunicję chcąc uniknąć przejęcia tego sprzętu przez swych przeciwników. Po wojnie część zatopionego uzbrojenia wydobyto, poddano renowacji i do dziś prezentowany jest on w muzeum w Tsumeb.

Jeszcze jedna związana pośrednio tylko z jeziorem kwestia. Przyjmuje się, że zostało ono odkryte przez Szweda Charlesa Anderssona i Anglika Francisca Galtona. A sama nazwa jeziora w języku mieszkających tu Herero znaczy „głęboka dziura”. Czy więc Herero nie wiedzieli o jeziorze, a dopiero powiedzieli im o tym Anglik i Szwed?

Dla Wielkopolanina niebagatelną sprawą jest też to, że obok tego jeziora wiodła droga Kazimierza Nowaka w czasie jego afrykańskiej wyprawy w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Nad jeziorem spędził on jedną z wielu afrykańskich nocy. Kazimierz Nowak w jednym ze swych listów, opowiada co twierdzą na temat powstania jeziora mieszkający w okolicy Buszmeni. W tym miejscu, gdzie dziś są wody jeziora, wznosić się miał pagórek, na szczycie którego rośnię duże drzewo. Był to ulubiony teren polowań. Spod drzewa myśliwi obserwowali cały teren. Dla zabicia czasu rozpoczęli kopanie dołu. Dokopali się do wody. Pewnego razu po wodę przybyć miało sześć buszmeńskich kobiet. Przy pomocy liny czerpały wodę. Wtedy rozległ się potężny huk. Znikły kobiety, drzewo i wzgórek, a pokazały się wody jeziora. Buszmeni nazywali je odtąd jeziorem sześciu kobiet.

Czy w tej opowieści, legendzie nie ma ani słowa prawdy? Niektórzy twierdzą, że jezioro powstało wskutek zaważenia się „dachu” nad istniejącym podziemnym zbiornikiem. Przemawiać ma za tym znacznie płytszy środek jeziora. To właśnie gruz z zapadniętego „dachu”. Czy taki „dach” jest jeszcze w innych miejscach nad podziemnymi wodami? I czy także on może się zapaść jak w tej buszmeńskiej opowieści?

ZDZISŁAW WOJTCZAK

Hippisowska komuna w Kalifornii

Wyjechała za Ocean i podbiła serca tamtejszej publiczności. Kto? Jedną z największych polskich aktorek XIX w. – Helena Modrzejewska. Przy okazji chciała założyć pierwszą komunę hippisowską w Kalifornii. Towarzyszył jej w ekscentrycznym przedsięwzięciu jej mąż Wielkopolanin hrabia Karol Chłapowski z Czerwonejwsi.

Historia ta zaczyna się od pewnej dość ekscentrycznej idei. Przyjaciele aktorki i jej męża – arystokraty z Wielkopolski – Karola Chłapowskiego, pozostając pod wpływem myśli francuskiego utopisty Charlesa Fouriera, w 1876 r. wyjechali do Anaheim w Kalifornii i założyli komunę na farmie należącej do Chłapowskiego. Do eksperymentu przystąpili: Helena Modrzejewska z mężem, malarz Lucjan Paprocki i małżeństwo Sypniewskich z dwójką małych dzieci. Czekał już tam na nich niecierpliwie... Henryk Sienkiewicz.

„Salonowi farmerzy”

Obowiązki rozdzielono. Do mężczyzn należała uprawa ziemi, kobiety miały zajmować się domem. Aktorka szybko poczuła się zmęczona rolą gospodyni domowej. Tym bardziej, że Sypniewska słabowała, a Anusia – młodzieńca pomoc domowa – niewiele umiała. Cały dom był więc na głowie Heleny; gotowała, prała i sprzątała. Zapał towarzystwa, przywykłego do miejskiego życia, wkrótce także wyparował. We „Wspomnieniach i wrażeniach” aktorka z właściwym sobie poczuciem humoru odnotowuje:

- Pierwszego dnia, kiedy moi panowie zabrali się do okopywania sadu pomarańczowego, wyglądali na zapalonych, pełnych energii ... trzeciego dnia niektórzy uskarżali się, że „nie czują płuców”, a po tygodniu dwóch tylko



Portret artystki wykonany w Zakładzie Fotograficznym Kloch i Dutkiewicz

Fot. w zbiorach Cyfrowej Biblioteki Narodowej

obstawało przy dalszej pracy, tj. mój mąż i syn. Sienkiewicz miał do wystania pilną korespondencję do Warszawy; Paprocki, unieruchomiony z powodu reumatyzmu, spędzał czas na robieniu ładnych rysunków, a Sypniewski musiał pozostać w domu i doglądać żony, która była niedysponowana.

Dziki Zachód Sienkiewicza

Sienkiewicz przebywał wówczas w Stanach jako korespondent „Gazety

Polskiej". W Ameryce „zażywał” przygód i poznawał Dzikie Zachód. Polował na niedźwiedzie i bawoły. Był zauroczony Modrzejewską. Pisał pochlebne recenzje z jej występów. Krążyły plotki, że są kochankami.

Jego „Listy z podróży do Ameryki” cieszą się nadal zainteresowaniem. Dużo w nich fantazjował, więc nie jest to dokument. Podobnie zresztą czynił w „Listach z Afryki”. Staramy się z dystansem podchodzić do kwestii domniemanego romansu, choć z pewnością Sienkiewicz uległ urokowi Modrzejewskiej. Pobyt w Stanach miał znaczący wpływ na jego twórczość. W Kalifornii



Hrabia Karol Chłapowski z Czerwonejwsi
Fotografia wykonana w Zakładzie Fotograficznym
„Conrad”

Fot. w zbiorach CBN

spotkał kapitana Rudolfa Korwina-Piotrowskiego, który posłużył mu do stworzenia postaci rubasznego Onufrego Zagłoby. To były początki jego twórczości literackiej. Był młody, beztroski, miał znakomite poczucie humoru. Wszystko było proste, nie istniały dla niego żadne przeszkody. Późniejsze tragedie życiowe miały to zmienić – informuje Lucyna Drajevska, pracownik Muzeum Literackiego Henryka Sienkiewicza w Poznaniu.

Koniec komuny

Eksperyment „spalił na panewce”. Po roku aktorka opuściła farmę. Na początku stycznia 1877 r. była już w San Francisco. Po latach niepowodzenie „powrotu do natury” wspominała tak:

- Wszyscy doszliśmy do przekonania, że nasze gospodarzenie nie zostaje uwiecznione powodzeniem. Na każdym kroku spotykał nas bolesny zawód. Mieliśmy kilka krów, ale nie było komu ich doić, tak że mleko, masło i śmietanę musieliśmy kupować od sąsiadów. Mieliśmy kury, ale nasze kochane psy, podkradając, stałe żywiły się ich jajami. Mieliśmy winnicę dającą piękny zbiór muskateli, ale nie było na nią kupców, i często zdarzało się, że obcy ludzie przyjeżdżali z wózkami i napełniali je bez ceregieli, twierdząc, że taki jest miejscowy zwyczaj

Na podbój Ameryki

W San Francisco znalazła się w swoim żywiole. Z werwą zabrała się do nauki angielskiego. Snuła plany zawojowania amerykańskiej sceny. Jeszcze w 1877 r. zadebiutowała w California Theatre w tytułowej roli w *Adriannie Lecouvreur*. Początki były trudne. Grała na akord po sześć dni w tygodniu, czasem dwa razy dziennie.

- Nowy Jork podbiła dopiero „Dama Kameliową” – pisze Józef Szczublewski w „Żywocie Modrzejewskiej”. Rozstrzygająca data: wieczór 14 I 1878. *Adrianną* wzięła krytyków i „wyższe 10 000 nowojorczyków”, premierą „Damy Kameliowej” zdobyła miasto. W akcie trzecim po scenie z Armandem widowieństwo poderwała „burza owacji”. Dzięki

wszechmocnej prasie nowojorskiej tę burzę posłyszeli cała Ameryka.

Potem nastąpiły występy w teatrach w Nowym Jorku, Filadelfii, Bostonie, Waszyngtonie i wielu innych miastach. Stało się nieprawdopodobne – podbiła Amerykę. W USA znano ją pod pseudonimem Modjeska. Występowała z własnym zespołem. Podczas wielkich tournée – odbyła ich aż 26 – miała do dyspozycji własny wagon.

Kiedy nacieszyła się triumfami za

oceanem pojechała trzykrotnie na tournée w Anglii. I chociaż odniosła tam oszałamiający sukces, pozostała w Ameryce. Zamieszkała w swojej posiadłości „Arden” w Santiago. W 1883 r. otrzymała amerykańskie obywatelstwo. Przyjeżdżała wielokrotnie do Polski na występy gościnne i odpoczynek w jej ukochanym Zakopanem.

*

- Pomysł z komuną był kuriozalny i do przewidzenia, że skończy się marnie. Niemniej Modrzejewska odniosła spektakularny sukces w Ameryce. Chciałbym podkreślić, że nie docenia się wsparcia jakiego Karol Chłapowski udzielał żonie. Niektórzy uważali go za firyka i mieli za złe roztrwianie rodzinnego majątku. Na ich ślubie w 1868 roku w Krakowie nie było nikogo z rodziny Chłapowskich. Ślub z aktorką z dwójką dzieci to był szok. Później stosunki lepiej się ułożyły – opowiadał mi przed laty śp. Józef Świątkiewicz z Czempinia, regionalista i znawca dziejów rodu Chłapowskich.

Film, którego nie było

Aktorka nie ma szczęścia do filmowych biografii pokazujących jej amerykański okres życia. Do filmu o Modrzejewskiej w Ameryce przymierzał się w 2000 roku Andrzej Wajda, ale projekt nigdy nie doczekał się realizacji. Także projekt Jerzego Skolimowskiego, przewidujący adaptację powieści „W Ameryce” Susan Sontag, nie został zrealizowany. Artystkę miała zagrać znakomita francuska aktorka Isabelle Huppert, która nie kryje fascynacji Modrzejewską. W roli aktora amerykańskiego Edwina Bootha, częstego partnera Modjeskiej, widziano Jeremiego Ironsa. Dialogi w języku angielskim były już gotowe. Sceny planowano kręcić m.in. w trzech polskich teatrach: „Słowackim” w Krakowie, Cieszynie i Bielsku-Białej. Niestety, na interesującym projekcie się skończyło. Przyczyną, jak zwykle w tego typu przedsięwzięciach, były kwestie finansowe.

TERESA MASŁOWSKA

Ppłk Wolszleger spoczywa w Śmiglu Leć nasz orle...

Kolebką wojsk balonowych w II RP był Poznań, w którym już w 1919 roku powstały załóżki tego rodzaju broni. Pierwszym dowódcą tych wojsk był płk Aleksander Wańkiewicz. 31 maja 1919 roku utworzono Oficerską Szkołę Aeronautyczną z dowódcą płk Feliksem Bałsunowskim. W lipcu 1919 roku został utworzony batalion aeronautyczny, którego dowódcą został kpt Jan Wolszleger. W latach dwudziestych ubiegłego wieku istniało 6 batalionów wojsk balonowych. Od 1924 roku wojska balonowe miały postawione zadania w obronie przeciwlotniczej. Bazy tych wojsk znajdowały się w Poznaniu i Toruniu. W ramach reorganizacji w latach 1923 – 1924 pozostawiono tylko jeden batalion, ale już w 1925 roku odtworzono jeszcze jeden w Legionowie. W latach 1934 – 1939 dowódcą tych wojsk był ppłk Jan Wolszleger.

Sterowcem, który w tym czasie służył w naszej armii był francuski Zodiak, noszący w Polsce imię Lech, o długości 50 m i średnicy 12 m. Jego prędkość wynosiła 60 – 80 km na godz. Dźwigał ładunek 300 kg bomb. We wrześniu 1939 roku osiem kompanii balonowych przydzielono poszczególnym armiom. W kampanii wrześniowej odbył się tylko jeden wzlot – w rejonie Modlina. Plutony zaporowe pełniły służbę w Warszawie. 3 września 1939 roku został zestrzelony pierwszy balon.

Jak wspomniano ostatnim dowódcą wojsk balonowych II RP był ppłk Jan Wolszleger, który urodził się w Cołdankach k. Chojnic w rodzinie ziemiańskiej. Uczył się w gimnazjum humanistycznym w Chojnicach, a następnie w szkole realnej w Chełmnie, gdzie zdał małą maturę. Po ukończeniu szkoły odbył praktykę rolniczą w Łaskowicy k. Wągrowca. 2 października 1911 roku został powołany do wojska, gdzie pełnił służbę w szkole podchorążych w Reinicendorf k. Berlina przy I Baonie Aeronautycznym Gwardii. Po zakończeniu służby kontynuował praktykę rolniczą w Zakrzewku k.

Torunia i Chobienicach k. Wolsztyna. Tam wstąpił do miejscowego „Sokoła”. Po wybuchu I wojny światowej został żołnierzem 8 Oddziału Balonów na Uwięzi w Królewcu. Od października 1914 roku pełnił obowiązki oficera manewrowego, a od stycznia 1915 roku - obserwatora balonowego. Nominację na stopień oficerski otrzymał 6 lutego 1915 roku.

Po zakończeniu wojny – 24 czerwca 1919 roku wstąpił w szeregi Wojska Polskiego. W wojnie polsko – bolszewickiej Jan Wolszleger jako dowódca wraz ze swoim batalionem wchodził w skład I Pułku Aeronautycznego. 23 lipca 1921 roku został przeniesiony do Wydziału Aeronautycznego Departamentu Żeglugi Powietrznej Ministerstwa Spraw Wojskowych. Po upływie 4 miesięcy skierowany do Poznania na stanowisko dowódcy batalionu. W lipcu 1924 roku został dowódcą Batalionu Balonowego WP w Toruniu. Po pewnym czasie skierowany do ponownie do służby w Ministerstwie Spraw Wojskowych – w tym czasie był m.in. kierownikiem słynnych zawodów balonowych o Puchar Gordon – Benneta. W 1936 roku kandydował na stanowisko prezydenta Torunia. W Toruniu był prezesem Klubu Sportowego „Gryf”.

We wrześniu 1939 roku został wraz z Wydziałem Balonowym ewakuowany do Lwowa, a następnie przekroczył granicę węgierską, gdzie przez całą wojnę był jednym z kierujących ewakuacją żołnierzy polskich oraz pomagał tym, którzy pozostali na Węgrzech. W maju 1945 roku powrócił do Polski – do Krakowa, skąd udał się do rodziny, która mieszkała w Krzemieniewie k. Leszna. Pracował jako kierownik UNRA w Częstochowie, Państwowych Nieruchomościach Rolnych w Koszalinie oraz w pegeerach Jaraczewo pow. Wałcz i Mielno k. Koszalina. W 1953 roku przeszedł na emeryturę. Zmarł 10 lipca 1959 roku w Śmiglu i tam został pochowany na miejscowym cmentarzu. Był odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi.

JAN PAWICKI

„Leć nasz orle w górnym pędzie...” – taki tytuł, zaczerpnięty z „Warszawianki”, nosi piąty i ostatni tom serii „Polskie Państwo Podziemne w Wielkopolsce”, wydawanej przez poznański Oddział Instytutu Pamięci Narodowej*. Godzi się przypomnieć, że w poprzednich tomach przedstawiono kolejno: system okupacji niemieckiej w Wielkopolsce 1939-1945 („Ausrotten – Wytępić”), struktury Polskiego Państwa Podziemnego w tak zwanym Kraju Warty („Jak Feniks z popiołów”), charakterystykę oporu społecznego i konspiracji Wielkopolan („Twierdzą nam będzie każdy próg...”) oraz formy walki i oporu Wielkopolan („Do krwi ostatniej...”). Słowem: opracowania, prezentowane w cyklu dowodzą, że Polacy, żyjąc w szczególnie trudnych warunkach ziem wcielonych do Rzeszy niemieckiej, w toku realizacji obłądnej koncepcji wzorcowego rozwiązania administrowania podbitym terytorium (Mustergau) przez złej sławy Reichstaathaltera i Gauleitera Arthura Greisera, nie byli bierni i podjęli walkę, za którą płacili najwyższą cenę – cenę życia. W świetle opublikowanych dokumentów nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że Wielkopolska stanowiła bardzo istotne ogniwo Państwa Podziemnego, co – niestety – bywa niedoceniane przez współczesnych badaczy z centralnej i wschodniej Polski.

Wydawnictwo spełnia kryteria opracowania popularno – naukowego, a liczne fotografie i reprodukcje, przewaga ilustracji nad tekstem, sprawiają, że poszczególne tomy są w istocie albumami, co podwyższa atrakcyjność publikacji oraz znacznie poszerza krąg odbiorców. Warto podkreślić, że rzetelne opracowania poszczególnych zagadnień przygotowali pracownicy poznańskiego Oddziału IPN: dr Waldemar Handke, dr Agnieszka Łuczak, Aleksandra Pietrowicz, dr Rafał Sierchuła, a fotografie – Jan Kołodziejwski.

Całość – niejako przy okazji –



Uczniowie Szkoły Podstawowej im. Armii Krajowej w Kaczkowie k. Leszna z opiekunami na tle Pomnika Polskiego Państwa Podziemnego w Poznaniu.

Fot. W zbiorach szkolnej izby pamięci

dowodzi, że Instytut Pamięci Narodowej stał się niezbędną placówką badawczą, mogącą skutecznie wypełnić luki w edukacji narodowej i z perspektywy czasu oraz wobec ujawniania nieznanych dokumentów - weryfikować i wydatnie uzupełniać zawartość dotychczasowych publikacji o zbrodniach niemieckich i o polskim trwaniu w oporze.

*

Mówią, że koniec wieńczy dzieło. Tom piąty, zamykający cykl, opatrzony słowem wstępnym marszałka województwa wielkopolskiego Marka Woźniaka, poświęcony został niemal w całości Pomnikowi Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej w Poznaniu, który zbudowano w 2007 roku w centrum stolicy Wielkopolski, w parku im. Wieniawskiego, u zbiegu Alei Niepodległości i ulicy Libelta.

Pierwsze reakcje czytelników są pozytywne i wskazują, że to był dobry

pomysł. Ostatni tom bowiem stanowi niejako publiczne rozliczenie się inicjatorów budowy pomnika z wykonanego dzieła. Zawarto w nim m.in. szczegółową dokumentację gromadzenia środków finansowych i przebiegu budowy, rejestr ofiarodawców, sprawozdania z uroczystości odsłonięcia i poświęcenia, a także - co bardzo ważne - graficzne rekonstrukcje, wkomponowanych w pomnik, ponad 1000 imiennych tabliczek Wielkopolan - żołnierzy Państwa Podziemnego, w tym wielu Kościaniaków, poległych w walce i zamordowanych w katowniach niemieckich i sowieckich. Grafiki te są same w sobie wymowne; na dodatek dzięki nim rodziny ofiar otrzymują cenną pamiątkę, która wzbogaca ich biblioteczki domowe.

Wprowadzenie do piątego tomu stanowią: przedmowa redaktorki opracowania Aleksandry Pietrowicz i udokumentowane szkice historyczne napisane przez pracowników IPN: Roberta Nowickiego - Wojskowa

Organizacja Ziemi Zachodnich (Powstanie - działalność - tragiczny finał), Rafała Sierchuły - Narodowa konspiracja wojskowa w Wielkopolsce w latach 1939 - 1945, Aleksandry Pietrowicz - Fenomen Polskiego Państwa Podziemnego - ...aż do ofiary mego życia (Wielkopolskie struktury Związku Walki Zbrojnej - Armii Krajowej) i Olgi Nowickiej - Gdy oświata była bronią (Wielkopolskie w walce o zachowanie polskiej nauki i kultury).

Poznański pomnik i przedstawiana tu seria wydawnicza powstały z inicjatywy i dzięki staraniom działaczy Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej - Okręg Wielkopolska. Wiceprezesa zarządu okręgu Maria Krzyżañska twierdzi, że w ten sposób wreszcie oddano należny hołd Wielkopolanom, którzy nie złożyli broni, walczyli do ostatniej kropli krwi, umierając z nadzieją, że ich ofiara nie idzie na marne; że jeszcze Polska nie zginęła.

*

Tom ukazał się w nakładzie 3 000 egzemplarzy, z czego - co godne naśladowstwa - jedną trzecią przeznaczono dla wielkopolskich bibliotek szkolnych. Nabyć go można w siedzibie poznańskiego IPN w cenie 14 zł; cena promocyjna w czasie konferencji i imprez, organizowanych przez Instytut - 11 zł za egzemplarz.

Opór narodowy w Wielkopolsce nie skończył się w 1945 roku. Dlatego teraz warto zastanowić się nad podjęciem - w podobnej konwencji - serii wydawniczej, obejmującej dalsze lata, powojenne wydarzenia i ludzi.

JERZY ZIELONKA

*) „Polskie Państwo Podziemne w Wielkopolsce 1939-1945”: Tom V. Leć nasz orle w górnym pędzie... (Pomnik Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej w Poznaniu), red. Aleksandra Pietrowicz, fot. Jan Kołodziejcki, projekt okładki Janusz Matysiak, Instytut Pamięci Narodowej - Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu - Oddział w Poznaniu, Poznań 2013, ss. 232, il. Cena 14 zł, w promocji 11 zł.

Kościan pamięta o Katyniu

Początki systematycznych badań zbrodni sowieckich popełnionych na Wielkopolanach wiążą się z Kościanem i z archiwalnymi poszukiwaniami dokumentów o Czynie Zbrojnym Wielkopolan 1918-1919 i o żołnierzach Armii „Poznań”. Tam - z inicjatywy młodego poznańskiego historyka Bogusława Polaka pod patronatem prof. dra Zdzisława Grota - powstała i działała grupa badawcza, która za podstawowy cel przyjęła określenie znaczenia Powstania Wielkopolskiego dla historii Polski. W Poznaniu nie było wtedy klimatu do niezależnych poszukiwań, w Kościanie prezes Oddziału Powiatowego ZBoWiD, akowiec Jan Witkowski pozytywny klimat stworzył. Jeśli dobrze pamiętam w tej pierwszej grupie znaleźli się także: Piotr Bauer, Ludwik Gomolec, Tadeusz Grygier, Stanisław Grygier, Tadeusz Jakubiak, Bolesław Makowski, Stanisław Nawrocki, Bernard Piotrowski, Marek Rezler, Andrzej Sobczak, Jan Szajbel, Tadeusz Wawrzyński, Andrzej Wesołowski, Jerzy Wojciak, Mieczysław Wojciechowski, Bolesław Woszczyński. I tak z biegiem czasu Kościan stał się miejscem spotkań i ośrodkiem wydawniczym, skupiającym historyków Powstania Wielkopolskiego z całego kraju i z zagranicy. Znane są tak zwane kościańskie seminaria naukowe i liczne publikacje, które po nich pozostały.

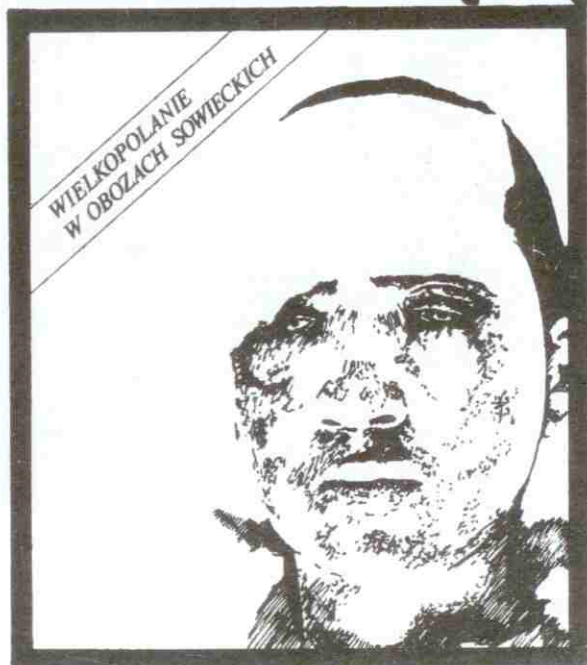
W metodologii badań historycznych dominowało wtedy rozumowanie dialektyczne. W dużym uproszczeniu sprowadzało się to do analizy i przedstawiania rzeczywistości jako zjawisk i procesów politycznych i gospodarczych z pomijaniem wpływu jednostek na bieg wydarzeń. Grupa kościańska w badaniach dziejów oręża polskiego (a stało się z inicjatywy Bogusława Polaka, dziś profesora doktora habilito-

wanego) szybko doszła do wniosku, że droga do prawdy prowadzi poprzez biografistykę i żmudne poszukiwania archiwalne. Oznaczało to tysiące godzin spędzonych w archiwach w kraju i zagranicą, ale zaowocowało m.in. biogramami **Powstania Wielkopolskiego**, oficerów i żołnierzy **Wojska Polskiego**, później zaś słownikami biograficznymi **Kawalerów Orderu Virtuti Militari** czy **Powstańców Wielkopolskich**. Można powiedzieć tak: jeśli marksistowska szkoła dialektyki stawiała najpierw tezę, a później poszukiwała argumentów na jej uzasadnienie, to badacze Powstania Wielkopolskiego skupieni w ośrodku kościańskim gromadzili materiały archiwalne, analizowali losy żołnierzy i w oparciu o to formułowali uogólnienia. Czas pokazał, że była to dobra droga.

Towarzyszyłem kościańskim seminarium powstańczym jako dziennikarz „Głosu Wielkopolskiego”, później „Gazety Poznańskiej” i „Panoramy Leszczyńskiej”, brałem udział w spotkaniach i wspólnych kwerendach archiwalnych. Nie można było, zajmując się śledzeniem losów Powstańców Wielkopolskich i żołnierzy Września 1939, nie trafić na zbrodnie sowieckie, głównie na

PIOTR BAUER • JERZY ZIELONKA

ŻOŁNIERSKA DROGA PRZEZ MEKĘ



BIBLIOTECZKA WIADOMOŚCI KOŚCIAŃSKICH

Oktładka pierwszego tomu książki P. Bauera i J. Zielonki, wydanego w nakładzie 5 000 egzemplarzy w 1990 r.
Projekt: Grzegorz Pawlak

morderstwa, które dają się zamknąć w symbolicznym hasle Katyń. Czasy jednak nie sprzyjały publikowaniu. Ustalono więc, że tak zwane dokumenty katyńskie będą przechowywane w domach u Piotrusia Bauera i u mnie.

Poza zebraniem znanych wtedy powszechnie na świecie publikacji (w Polsce jeszcze nie), udało się nam nawiązać kontakty z rodzinami katyńczyków, zgromadzić liczne fotografie, listy z obozów NKWD w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku oraz relacje krewnych ofiar zbrodni sowieckich. Nie było łatwo - ludzie się jeszcze bali. Przeprowadziliśmy też kwerendy w wielkopolskich urzędach stanu cywilnego (akty zgonów) i w sądach. Okazało się, że rodziny ofiar zbrodni sowieckich po wojnie występowały o sądowe uznanie swoich bliskich za zmarłych, przedstawiając jako dowody

oświadczenia świadków i ostatnie listy wysłane z sowieckich obozów. UZZ – to sygnatura dokumentu uznania za zmarłego. Kryją się pod nią ważne dowody zbrodni.

Później do kościańskiej grupy dołączyli niepodległościowi działacze z Leszna: dr Romuald Szeremietiew, mgr Eugeniusz Matyjas oraz dr Zdzisław Kościański, mgr Zenon Józwiak i red. Jerzy Wizerkaniuk. Ale trzeba było jeszcze czekać. Publikowanie wyników badań rozpoczęliśmy w 1988 roku na łamach prasy regionalnej („Wiadomości Kościańskie” i „Panorama Leszczyńska”). 2 maja 1989 roku zorganizowaliśmy pierwszą w Wielkopolsce oficjalną sesję naukową pt. „Zbrodnia Katyńska w świetle źródeł”. Inż. Jędrzej Tucholski z Warszawy miał mówić o rozmieszczeniu obozów sowieckich dla polskich jeńców w ZSRR w 1939 roku. Nie przyjechał – pracował w administracji rządowej i nie otrzymał zezwolenia przełożonych. Sesja ograniczyła się do dwóch wykładów: Piotruś Bauer przedstawił losy pilotki Janiny Lewandowskiej z Dowbor Muśnickich; mnie przypadło zreferowanie tematu „Wielkopolanie w Katyniu”.

Eugeniusz Matyjas, działacz „Solidarności” został wojewodą leszczyńskim i objął patronat nad naszymi badaniami. Od tego czasu było łatwiej. Dzięki temu mogły się ukazać w latach 1990, 1991 i 1993 trzy tomiki wydawnictwa pt. „Żołnierska droga przez mękę – Wielkopolanie w obozach sowieckich”. Dr Piotr Bauer w artykule pt. „Rola Kościana w badaniach nad zbrodnią katyńską” w 2005 roku stwierdzał ze smutkiem: „(...) Niestety z szeroko zakrojonej serii ukazały się drukiem tylko trzy pozycje, co było związane ze zmianą na stanowisku wojewody leszczyńskiego, po prostu zabrakło sponsora. Czwarty tomik traktujący o policjantach oczekuje na druk (...)”.

Tamten wysiłek nie poszedł na marne. Wychodzimy z mroku, mamy coraz więcej materiałów, można poprawiać i uzupełniać to co napisaliśmy kiedyś. Nasza nadzieja w historyku młodszego pokolenia mgr. Zenonie Józwiaku z Instytutu Gen. Stefana „Grotta” Roweckiego w Lesznie, który przygotowuje do druku m.in. nową „Kościańską Księgę Katyńską”.

JERZY ZIELONKA

Kościaniacy w mogiłach katyńskich

†Katyń †Charków †Miednoje †Kuropaty †Bykownia

We współpracy ze Starostwem Powiatowym w Kościanie oraz Urzędem Miasta w Kościanie przygotowuję „Kościańską Listę Katyńską”. Zainspirował mnie do tego opracowania i wszelką pomocą służy, jeden z prekursorów badań losów Wielkopolan na Wschodzie - red. Jerzy Zielonka. Lista ta obejmuje zamordowanych na Wschodzie oficerów, szeregowych, policjantów, żołnierzy KOP i Straży Granicznej związanych z powiatem kościańskim, według granic z 01 września 1939 r., czy poprzez miejsce urodzenia, zamieszkania, zatrudnienia, uczęszczania do kościańskich szkół.

Według dotychczasowych ustaleń w miejscach sowieckiej kaźni zostało zamordowanych co najmniej 150 oficerów i policjantów, związanych z ziemią kościańską, w tym co najmniej 36 z nich brało udział w Powstaniu Wielkopolskim. I tak:

1. Starobielsk/Charków – 22
w tym: 8 Powstańców
2. Kozielsk/Katyń – 45
w tym: 16 Powstańców
3. Ostaszów/Miednoje – 68
w tym: 11 Powstańców
4. Mińsk/Kuropaty – 1
5. Kijów/Bykownia – 3
6. inne miejsca kaźni – 11
w tym: 1 Powstańca.

Wśród nich jest też czterech kawalerów Orderu Wojennego Virtuti Militari:

kpt. posp. rusz. Stefan May (1890-1940), ur. w Kościanie (†Katyń),
ppłk Bronisław Piniński (1892-1940), ur. w Karczewie (†Katyń)
ppłk Jan Chylewski (1891-1940), ur. w Wielkich Łąkach (†Charków)
por. rez. Marceli Teodor Żółtowski

(1900-1940), ur. w Jarogniewicach (†Katyń).

Lista ta jest cały czas aktualizowana. Problemem w pracach badawczych jest to, iż od 1 września 2011 r. na czas nieokreślony niedostępne są dla badaczy akta personalne znajdujące się w zasobach Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie z uwagi na trwający remont.

W 2010 r. Janina Pańczakowa i Małgorzata Cichoń wydały książkę Powstańcy wielkopolscy w grobach katyńskich. Przedstawiły biogramy 250 Powstańców, lecz w tej publikacji brakuje – według dotychczasowych ustaleń – co najmniej 11 Powstańców z powiatu kościańskiego. Myślę, że kościańska publikacja będzie stanowiła uzupełnienie tej pracy.

Chcę przedstawić sylwetkę jednego z nich, Powstańca z Kompanii Wielichowskiej, uczestnika wojny polsko-bolszewickiej, w okresie międzywojennym funkcjonariusza Straży Granicznej, st. strażnika Jana Ciesielskiego.

Urodził się 3 I 1900 r. w Borku w rodzinie Walentego i Rozalii z Ratajczaków. Po zakończeniu nauki w 4-klasowej szkole, aż do uzyskania pełnoletniości pozostawał w domu na utrzymaniu rodziców, pomagając im w prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Mając 18 lat, pod koniec I wojny światowej, został zmobilizowany do armii niemieckiej, gdzie otrzymuje przydział do 25 Pułku Artylerii Ciężkiej, który wówczas stacjonował w Poznaniu. W armii niemieckiej służył od 16 III do 31 XII 1918 r. Po wybuchu Powstania Wielkopolskiego

wrócił do rodzinnej wsi i 4 I 1919 wstąpił do drużyny wilkowskiej, a następnie do kompanii wielichowskiej. Walczył na froncie zachodnim Powstania Wielkopolskiego (Wolsztyn, Kopanica, Kargowa). Po reorganizacji Wojsk Wielkopolskich służył w 61. Pułku Piechoty Wielkopolskiej w kompanii CKM-ów. Z pułkiem brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej na Białorusi i Ukrainie, m. in. w bitwie pod Berezyną. Po zwolnieniu z wojska w 1921 r. stopniem kaprała w kwietniu 1922 r. został przyjęty przez Dyрекcję Ceł w Poznaniu do służby w Korpusie Straży Celnej. Po zaprzysiężeniu zostaje skierowany do Szkoły SC w Zambrowie, którą ukończył 15 czerwca 1922 r. Z chwilą zakończenia nauki został przeniesiony do Dyrekcji Ceł we Lwowie i rozpoczyna służbę na granicy polsko-rumuńskiej w Komisariacie SC Uścieryki. W 1925 r. pełni służbę graniczną w Placówce Popielniki. Po reorganizacji formacji, w marcu 1928 r. wstąpił do Straży Granicznej.

Przebieg służby w SG:

1.04.1928 – 30.09.1928 Placówka I Linii Popielniki, K-t Tuczapy, IG Kołomyja

1.10.1928 – 30.04.1934 Placówka I Linii Popielniki, K-t Śniatyn, IG Kołomyja

od 1.05.1934 r. służy w Placówce I Linii Kułaczyn, K-t Śniatyn, IG Kołomyja

Aresztowany przez Sowietów 21 września 1939 r. na ulicy w Śniatynie. Przebywał w obozie w Ostaszku. Zamordowany przez Sowietów w Twerze w nocy z 27/28 kwietnia 1940 roku. Był odznaczony: Medalem Pamiątkowym za Wojnę 1918-1921, Medalem Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości, Brązowym Medalem za Długoletnią Służbę, pośmiertnie Oznaką Pamiątkową Krzyż Kampanii Wrzesniowej 1939, Londyn (15 VIII 1985, nr leg. 12590).

*

Zainteresowane rodziny proszę o kontakt na adres redakcji „Wiadomości Kościańskich”.

ZENON JÓŹWIAK

Zapiski kościańskiego regionalisty (3)

Marian Koszewski, wybitny regionalista, patron Szkoły Podstawowej nr 4 i Gimnazjum nr 4 w Kościanie życie poświęcił badaniu i popularyzowaniu dziejów Ziemi Kościańskiej. Zmarł 16 października 2006 roku. Pozostały po nim nie tylko liczne publikacje, ale także stopy notatek, które gromadził, a których – niestety – nie zdążył wykorzystać. W latach 1999 – 2000 Marian z przyjaciółmi z Instytutu im. Generała Stefana „Grota” Roweckiego z Leszna przeprowadzał kwerendę prasy w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu. Notatki z przeglądu kościańskiej „Gazety Polskiej”, rocznik 1929, wraz z jego uwagami (zaznaczono je kursywą) stanowią treść tego artykułu. Podane w śródtytułach daty określają dzień ukazania się gazety.

3 września 1929r.

Przed wyborami samorządowymi „Gazeta Polska” opublikowała tylko jedną listę - kandydatów Narodowego Komitetu Wyborczego do Rady Miejskiej. Lista obejmowała 36 nazwisk. Otwierał ją kościański proboszcz ks. Stanisław Bednarkiewicz. Kolejne, czołowe miejsca zajmowali: kupiec Stefan Soborski, mistrz kołodziejski Józef Wypych, kuśnierz Feliks Makowski, lekarz dr Józef Dirbach, kupiec Stefan Augustyniak, mistrz krawiecki Franciszek Trzybiński, aptekarz Władysław Leszczyński, kupiec Jan Tadeuszak, sekretarz sądowy Roman Marecki, mistrz ślusarski Ignacy Richter, kupiec Kazimierz Owczarczak, bankowiec Telesfor Hauser, mistrz blacharski Jan Gątownski, kupiec Józef Paduch, mistrz rzeźnicki Adam Jerzykiewicz, kupiec Stefan Bąk, przemysłowiec Łucjan Hubert, restaurator Jan Roszak, żona mistrza kowalskiego Pelagia Tadeuszowa, naczelnik Kasy Skarbowej Józef Paździor, stolarz Jan Siąkowski, pracownica Katarzyna Mikołajczykówna, nauczyciel Antoni Kutzner, kupiec Władysław Tomaszewski, kupcowa Stanisława Wytykówna, naczelnik stacji Stanisław Kowalski, mistrz piekarski Władysław Sobiech, przedsiębiorca Franciszek Kopiejewski, emerytowany konduktor pocztowy Teodor Zimoch, mistrz piekarski Leon Kostański, mistrz

rymarski Stanisław Wadowicki, mistrz koszykarski Julian Hofmański, mistrz stolarski Adam Kamiński, kupiec Maksymilian Tomaszewski i drogerzysta Franciszek Stróżyk.

10 września

Kościan. Jego Ekscelencja ks. Biskup Dymek przybył wczoraj pociągiem o godz. 14. 30 do Kościana, gdzie go na dworcu powitał ks. dziekan Marciniak z Czacza oraz miejscowy proboszcz ks. Bednarkiewicz z ks. mansonarzem Stróżyńskim i panem burmistrzem Maćkowiakiem. Po powitaniu ks. biskup odjechał do Czacza. Ks. Walenty Dymek (1888 – 1956) – powstaniec wielkopolski i radny miejski w Poznaniu – konsekrowany został na biskupa 10 maja 1929r. Była to jedna z pierwszych jego wizytacji pasterskich. Dzień po dniu lustrował kolejno parafie ówczesnego dekanatu śmigieńskiego: Czacz, Białcz Stary, Wilkowo Polskie, Bucz, Bronikowo, Śmigiel, Radomicko, Górkę Duchowną i Bojanowo Stare, skąd w czwartek 12 września 1929 r. pociągiem wrócił do Poznania.

12 września

„Gazeta Polska” zamieściła wszystkie listy kandydatów na radnych w wyborach samorządowych, Listę nr 1 wylosował Polski Związek Lokatorów,



Wielichowo

Ze zbiorów pocztówek w Muzeum Regionalnym im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

który wystawił 24 kandydatów. Byli to według kolejności na liście: mistrz obuwniczy Jan Wawrzyniak, kupiec Kazimierz Sytek, kupiec Hipolit Nowakowski, robotnik Władysław Lorych, starszy konduktor pocztowy Stanisław Żak, malarz Piotr Hertmanowski, mistrz obuwniczy Jan Siejek, murarz Ignacy Sobecki, robotnik Jan Kümmel, mistrz krawiecki Michał Mądrosz, inwalida wojenny Jan Czaiński, mistrz siodlarski Franciszek Banaszak, mistrz obuwniczy

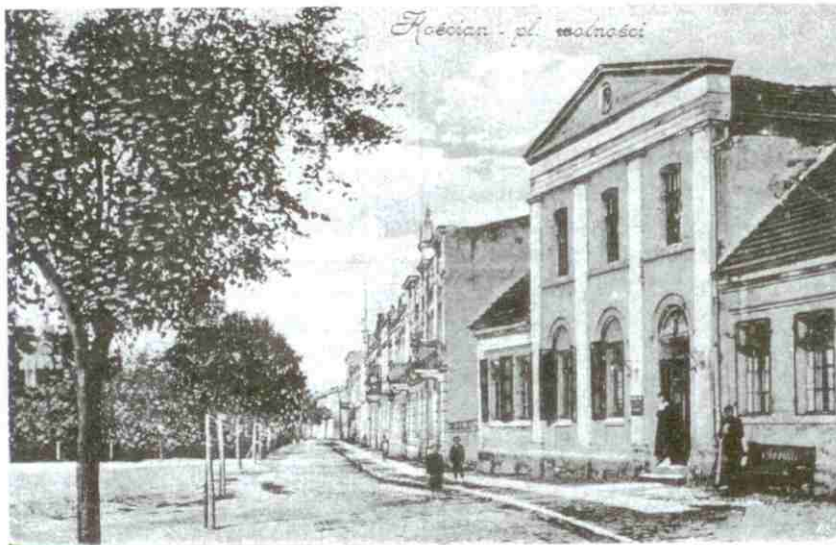
Marcin Ławniczak, emeryt pocztowy Władysław Koszek, murarz Stanisław Kaliszewski, mistrz stolarski Sylwester Świdorski, kapitalista (to znaczy utrzymujący się z odsetek od zgromadzonego kapitału) Ludwik Buchwald, podstarszy listonosz Jan Bączkowski, robotnik Józef Matuszewski, robotnik Jan Prałat, handlarz Wawrzyn Łaszczak, emeryt pocztowy Tomasz Nowacki, robotnik Jan Szkuclarek i murarz Teodor Mill.

Lista nr 2 przypadła Demokratycz-

nemu Blokowi Pracy Gospodarczej, była prorządowa i zawierała 17 nazwisk zwolenników Marszałka Piłsudskiego. Otwierał ją dyrektor Cukrowni Kościan Władysław Psarski. Po nim w kolejności następowali: dyrektor Państwowej Fabryki Wyrobów Tytoniowych Stanisław Baron, adwokat Tadeusz Rozwadowski, mistrz krawiecki Jan Garszczyński, robotnik Wojciech Konieczny, kierownik szkoły powszechnej męskiej Jan Hoffner, kierownik warsztatów kolejowych Józef Frąckowiak, nauczyciel zakładu głuchoniemych Stanisław Werc, mistrz stolarski Szymon Buszkiewicz, właściciel domu Jan Łopatka, urzędnik fabryki wyrobów tytoniowych Jan Hertmanowski, robotnik Stanisław Skrzypczak, kolejarz Andrzej Płociniczak, urzędnik skarbowy Jan Proskurka, mistrz krawiecki Stanisław Motała, zegarmistrz Teodor Hohensee, sekretarz inspektoratu szkolnego Teodor Ogórkiewicz, robotnik Andrzej Kurasiak, robotnik Franciszek Bartkowiak, cieśla Aleksander Frąckowiak, nauczyciel zakładu głuchoniemych Józef Mazur, urzędnik zakładu głuchoniemych Jan Ostrowski, właściciel domu Ignacy Wojciak, siodlarz Józef Jakubiak, kolejarz Franciszek Antonik, robotnik Jan Witkowski i robotnik Marcin Matuszewski.

Lista nr 3 przypadła Narodowemu Komitetowi Wyborczemu z ks. Stanisławem Bednarkiewiczem na czele. Wydrukowano ją powtórnie, bo gazeta stanowiła własność środowisk endekich.

Wreszcie na liście nr 4 umieszczono 20 nazwisk kandydatów Narodowej Partii Robotniczej, opierającej się głównie na działaczach związków zawodowych. Otwierał ją robotnik Ludwik Klemenski, a po nim: robotnik Jan Sztul, księgowy Aleksy Czesław Gałęcki, maszynista kolejowy Piotr Kubacki, ślusarz Stanisław Sławek, stolarz Jan Siąkowski, robotnik Piotr Józefowski, młynarz Piotr Bukiewicz, robotnik Andrzej Banach, murarz Stanisław Kostański, robotnik Stanisław Juja, robotnik Szczepan Drąg, robotnik Józef Musielak, asystent kolejowy Władysław Misiaczyk, robotnik



Na pierwszym planie kościańska Strzelnica – jeden z lokali wyborczych w latach II RP. Ze zbiorów pocztówek w Muzeum Regionalnym im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

► Walenty Jankowiak, robotnik Michał Waligóra, drukarz Piotr Kaliszewski, robotnik Antoni Ossowski, robotnik Franciszek Krupka i robotnik Jan Jankowski.

30 września

Kościan. Budowę hali gimnastycznej rozpoczął „Sokół” miejscowy. Sprawa ta pokutowała od kilku lat, bo środków na budowę nie było. Zarząd w ostatnim czasie postanowił dłużej nie czekać i rozpocząć budowę temi środkami, które ma chwilowo do dyspozycji. Chętni do bezinteresownej pracy druhowie mogą się zgłosić do Strzelnicy, o ile możliwości z łopatami, celem wykopania fundamentu. Inicjatywę podjęło Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w Kościanie. Halę zbudowano i stanowiąca ona dumę miasta. Obecnie mieści się w niej Kościański Ośrodek Kultury. „Sokół” się zadłużył. Długi po wojnie musieli spłacać z prywatnych środków członkowie zarządu.

1 października

Zamieszczono listę firm specjalnie nagrodzonych przez Zarząd Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu (pierwsze Targi Poznańskie). Mały medal srebrny PWK za swoje ekspozycje otrzymały m.in. wytwórnia win i likierów Wawrzyńca Czajki z Kościana i fabryka tleny A. Jezierskiego z Czempinia; medal brązowy majątek Stefana Żółtowskiego z Czacza, a dyplomy zasługi fabryka mebli Łucjana Huberta z Kościana i „Gazeta Polska”.

7 października

Ogłoszono wyniki wyborów do samorządu miasta Kościana, które odbyły się w niedzielę – 6 października. Głosowano w czterech obwodach: I – w sali Lurca ul. Poznańska 18, II – w Sali Hotelu Warszawskiego ul. Poznańska 19, III – w Sali Hotelu Victoria Al. Kościuszki 21 i w Sali Strzelnicy Plac Wolności 14. Oddano 3 593 głosów ważnych. Wybierano 18 rajców. Jak było do przewidzenia wybory wygrali narodowcy. Podział mandatów: Lista nr 1 (Lokatorzy) – 2, Lista nr 2 (Demokratyczny Blok Pracy) – 5, Lista nr 3 (Narodowcy)

– 10, Lista nr 4 (Narodowa Partia Robotnicza) – 1.

15 października

* Kościan. Dnia 17 października o godz. 15-tej Jego Eminencja ks. Kardynał dr August Hlond prymas Polski poświęcił raczy odbudowany klasztor O.O. Benedyktynów w Lubiniu. Dnia tego wyjedzie specjalny pociąg z Kościana do Lubinia o godz. 13.20. Powrót z Lubinia nastąpi o godz. 18-tej.

* Wielichowo. 500-letni jubileusz miasta. Miasto Wielichowo święciło 13 bm. uroczystość 500-lecia nadania przywileju praw miejskich ówczesnej wiosce Wielichowo. Przywilej ten został podpisany 15 lipca 1429r. w Kole nad Wartą przez króla polskiego Władysława Jagiełłę... Rano w ratuszu zebrały się władze miejscowe, przedstawiciele władz powiatowych, prasy i przedstawiciel wojewody poznańskiego naczelnik Wydziału Samorządowego pan radca Gluck. Przed ratuszem w karnym szeregu stanęły liczne towarzystwa miejscowe, jak Bractwo Kurkowe, Sokół, Towarzystwo Uczestników Powstania Wielkopolskiego, Towarzystwo Przemysłowe, Harcerze, dzieci szkolne i inne organizacje. O godz. 10.30 w pochodzie przez miasto, poprzedzonym orkiestrą ochotniczej straży ogniowej z Grodziska pod batutą pana Skrzypczaka, pięknie przybranymi ulicami miasta, wyruszył pochód na nabożeństwo. Mszę św. odprawił w kościele parafjalnym ks. proboszcz Ludwik Górski, który w czasie kazania okolicznościowego wskazał na akt wielkiego króla polskiego Jagiełły, wynoszący Wielichowo do rzędu miast w Wielkopolsce. Wskazując na piękne przykłady z historii, zachęcał kanzodzieja obywateli Wielichowa, by nadal trwali w wiernej służbie dla Kościoła i ukochanej Ojczyzny. Na zakończenie nabożeństwa, w czasie którego śpiewał miejscowy chór parafjalny pod batutą pana organisty Maślankiewicza, odśpiewano wspólnie „Boże coś Polskę”. Następnie przed pięknie przybranym w zieleń i sztandary narodowe ratuszem odbyła się defilada przed przedstawicielami władz i organizacyj... (cdn)

MARIAN KOSZEWSKI:

„Wrzeński słownik biograficzny” zawiera 1100 biogramów wybitnych postaci w dziejach miasta i regionu. Dzieło to – pod redakcją miejscowego dziennikarza Romana Nowaczyka (Stańczyka) – doczekało się drugiego poprawionego, uzupełnionego wydania nakładem Wydawnictwa Kropka Jolanta i Waldemar Śliwczynscy. Czytelników „Wiadomości Kościańskich”, którym słownik ten gorąco polecam, zainteresuje zapewne fakt, że przedstawiono w nim m.in. sylwetki ludzi, wpisanych w dzieje Ziemi Kościańskiej. Są to:

Roman Masłowski (1908 – 1943).

Urodzony w Krzywiniu. Członek Ochotniczej Straży Pożarnej w Miłostawiu. W czasie okupacji niemieckiej – żołnierz Związku Walki Zbrojnej. Aresztowany pod zarzutem sabotażu gospodarczego wyrokiem Sądu Specjalnego w Poznaniu skazany na karę śmierci, tamże zgilotnowany.

Aleksander Matuszewski (1887

– 1984). Urodzony w Prętkowicach pod Śmigłem. Od 1915 roku właściciel renomowanego zakładu krawieckiego we Wrześni. Tamże przewodniczący sądu honorowego cechu krawieckiego; nauczyciel zawodu we wrzeńskiej szkole doksztalającej, radny miejski, prezes powiatowy Towarzystwa Przemysłowego. Członek zarządu Związku Cechów Krawieckich na Rzeczpospolitą Polską w Warszawie. Jego żoną była legendarna przywódczyni strajku szkolnego 1901 roku we Wrześni – Bronisława Śmidowicz.

Metody Stelmachowski (1885

– 1927). Organizator Krzywińskiej Kompanii Powstania Wielkopolskiego 1918/1919. Mieszkał wtedy w Jurkowie. Urodził się we Wrześni. Absolwent Gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu i studiów rolniczych na Uniwersytecie

Wrocławskim. Po powstaniu, starosta powiatu Poznań – Wschód i powiatu rawickiego. Współorganizator spółki Polskie Radio w Poznaniu. Jego biogramy w przeszłości opracowali prof. dr hab. Bogusław Polak, dr Piotr Bauer i mgr Gerwazy Konopczyński.

Antoni Szał (1882 -1939). Urodzony w Lubiniu. W początkach XX wieku kierownik szkoły przy Towarzystwie Muzycznym w Poznaniu i dyrygent orkiestry tegoż towarzystwa. W czasie II RP - kapitan WP, kapelmistrz 68 pułku piechoty we Wrześni. Kompozytor i

Kościaniacy we Wrześni (2)

Słownik biograficzny Stańczyka

aranżer. Założyciel i opiekun licealnej orkiestry w liceum wrześnińskim; jeden z najwybitniejszych kapelmistrzów w Wojsku Polskim; od 1935 roku prowadził orkiestrę baonu Korpusu Ochrony Pogranicza w Skałacie pod Tarnopolem. Zaginął we wrześniu 1939 roku w czasie działań bojowych w okolicach Grodna.

Józef Szware (1839 – 1915) i Stanisława Szware (1844 – 1928) ze Śliwińskich. Małżeństwo to przybyło do Wrześni z powiatu kościańskiego pod koniec lat sześćdziesiątych XIX wieku i uruchomiło tam pierwszą w mieście cukiernię, którą rodzina prowadziła jeszcze w latach II Rzeczypospolitej. Spośród ich siedmiorga dzieci – troje zdobyło tytuł mistrza cukiernika. Ich synowie założyli firmy cukiernicze w Poznaniu.

Edward Tomaszewski (1907 – 1984). Urodził się w Kościanie, absolwent tutejszego Państwowego Gimnazjum i Liceum św. Stanisława Kostki i Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego. Lekarz medycyny, działacz społeczny i sportowy. W latach 1931 – 1939 ordynator w Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Kościanie. Po wojnie kierownik Wydziału Zdrowia Prezydium Powiatowej Rady Narodowej we Wrześni i tamże Stacji Pogotowia Ratunkowego oraz zorganizowanej przez siebie Przychodni Sportowej. Przed wojną w Kościanie



Wrześniński
słownik
biograficzny

*Fragment okładki wrześnińskiego „Słownika”.
Grafika Tomek Wojciechowski*

członek zarządów klubów „Sarmacja” i „Unja”, po wojnie we Wrześni prezes klubów sportowych „Victoria” i „Spójnia”. Jego obszernie biogramy opublikowali: dr med. Henryk Florkowski w „Słowniku lekarzy Ziemi Kościańskiej” (Kościan 1995) i Zdzisław Wojtczak w pierwszym tomie „Słownika Biograficznego Absolwentów Kościańskiego Gim-

nazjum i Liceum z lat 1923 – 1960” (Kościan 1998).

Jan Mariusz Tuszyński (1958 – 2010). Archeolog. Realizował liczne projekty wykopaliskowe z zastosowaniem nowoczesnego sprzętu elektronicznego m.in. w klasztorze benedyktynów w Lubiniu. Pochodził z Krotoszyna, gdzie był działaczem NSZZ „Solidarność” w zakładach „Delta”.

Adolf Żółtowski (1872 – 1934). Urodził się w Jarogniewicach. Duchowny katolicki – wikariusz w Rydzynie i Poznaniu, proboszcz w Nakle. Od 1901 w Zgromadzeniu Redemptorystów. Autor prac teologicznych, rektor w klasztorze w Maksymówce koło Stryja i nowicjatu w Mieściskach.

Teodor Żółtowski (1842 – 1915). Urodził się w Jarogniewicach. Ziemianin, wicemarszałek sejmiku Fragment okładki wrześnińskiego „Słownika”. Grafika Tomek Wojciechowski. Ufundował kościół w Nekli. Był długoletnim członkiem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Działacz charytatywny.

(Koniec)

Opr. JERZY ZIELONKA

*) „Wrześniński słownik biograficzny” pod red. Romana Nowaczyka [Stańczyka], Wydawnictwo Kropka Jolanta i Waldemar Śliwczyński, wydanie II, ss. 336, ilustr., Września 2011.

POEZJA

Kondukt Franciszka Ratajczaka

Z lazaretowej śmiertelnicy
szli krokiem wolnym bojownicy
szli zamyśleni
szli skupieni
w uliczne bruki zapatrzeni
szli
a przed nimi
jak lektyka
w obłokach trumna
się kołysze
z nogi na nogę
stąpa kondukt
czasem gdzieś przemknie
jaki szept

Idą druhowie
są przy broni
czasem o sprzączkę
sprzączka dzwoni
płyną chorągwie
z czarną wstęgą
lub czarne całkiem
nieba sięgną
taki to kir
jest jak zaćmienie
w mrok sumienie
jest niby
kruk
lub czarny orzeł

Zmień to widzenie
zmień je Boże
niech z trumien
wstanie biały orzeł
niech tu popłynie
z chorągwiami
w kondukcje
niech szybuje z nami
na zwycięstw szlak
i ponad śmierć

Minionej nocy
u węzłowia
twego stanęli towarzysze
i w blasku gromnic
w nocnej ciszy
przysięgli
na twą młodą śmierć
że ciebie pomszczą
i usłyszysz
że w wolnej ziemi
jest twój grób

W tonach
żałobnych
taka nuta
W mogile ciemnej
a po butach
styczniowy nam
przemyka chłód
Jeszcze ktoś słowem
nas rozgrzeje
wspomni cię dobrze
wiatrem powieje

gdzieś wiatrem wieje
od Westfalii
gdzie w czarnym pyle
do kopalin
do węgla
szedłeś na dwie zmiany
z szybu wracałeś zadyszany
górnicy cię pochłaniał trud

We wszystkich dzwonach
serca biją
tak biją
jakby na powstanie
tak biją
jakby nad Poznaniem
z popiołów
nowy
feniks
wstał

Po moich ojcach...

Po moich ojcach w niskiej chałupie
zostały kurzem pokryte żarna
zmurszała stągiew z rdzawą obręczą
i kuta skrzynia czarna

Po matce sznur mi został koralu
po ojcu drzazgi sochy drewnianej
i krzyż żelazny zaborczej armii
na wstędze haftowanej

Gdy dotknę sochy czuję jej drżenie
i żaren słyszę szmer przytłumiony
korale błyszczą w dostojnym tańcu
krzyż w szczerym polu został wzniesiony

Oto relikwie które wami żyły
oto jest pamięć która żyje we mnie
płodna i żyzna jak glebowe bryły
przez moje życie ślad stóp waszych biegnie

EUGENIUSZ WACHOWIAK

Wiersze pochodzą z tomiku „Płonąca
Stacja. Wielkopole w powstaniach
narodowych i w ruchu oporu 1794-1944,
wydanym w Poznaniu w 1988 r.

Kościan rzemiosłem stał (3)

W Poznaniu, w 1899 roku, dr med. Klemens Koehler wydał książkę pt. „Dawne cechy i bractwa strzeleckie [Rzecz osnuta o cechach i o bractwie strzeleckim w Kościanie]. Tą obszerną i rzetelną publikację historycy cenią do dzisiaj. Stanowi bowiem – na przykładzie Kościana – gruntowną analizę powstania i rozwoju rzemiosła wielkopolskiego. Jej znaczenie jest tym większe, że oparta została na badaniu dokumentów archiwalnych, z których wiele uległo rozproszeniu lub wręcz zniszczeniu w czasie II wojny światowej. Godzi się dodać, że w maju ubr. powstała w Kościanie grupa badawcza, która za cel przyjęła opracowanie historii kościańskiego młynarstwa, piekarnictwa i rzeźnictwa od czasów najdawniejszych poczynając do współczesności. Kontynuujemy druk fragmentów unikalnej książki dra Koehlera uważanego też za ojca kościańskich regionalistów. Zachowano pisownię oryginału. Publikacja jest dostępna w całości na stronach internetowych Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej.

Cech mielcarski

Szczupłe tylko wiadomości przeszły na nas o tym cechu. Potwierdzenie pierwsze jego ustaw pochodzi z roku 1571. Burmistrz i rada miejska dając statutowi temu sankcją, nie dozwoliła na pomieszczenie paragrafu, który zakazywał robienia słodu każdemu, choćby posiadał własny mielcuch, póki by do bractwa nie przystąpił. Istnienie cechu mielcarskiego w roku 1614 i 1662 potwierdzają oblige (skrypt



Lekarz i regionalista Klemens Koehler (1840-1901).

Fot. www.muzarp.poznan.pl

dłużny – dop. red.) z tych lat, przez wójta i cechy przyjęte. Gdy na oblige z r. 1614 tylko pieczęć przyciśnięta, podpisali się jeszcze pod takową z r. 1662 Starsi cechowi. Na obu pieczęciach pomieszczono jako symbol chorągiewkę wietrzną. Na pierwszej stoi chorągiewka ostrym końcem ku górze, na drugiej jest prawidłowo pomieszczona poziomo, a na niej widnieje monogram Chrystusa. Dołem na tarczy ośmiobocznej czytamy 1643, niezawodnie liczbę oznaczającą rok sprawienia nowego tłoku. O robieniu słodów, danin z nich, pomieszczamy szczegóły, omawiając cech piwowarski.

Cech młynarski

Z wilkierza (uchwała, ustawa – dop. red.) cechu młynarskiego wykazuje się, że już przed rokiem 1725, datą jego wygotowania bractwo to istniało, że jednakże dokumenta swe postradało, już

to przez wojny, już też wskutek przetrzebienia znacznego ludności przez morowe powietrze. Mistrzowie nie starali się o nowe ustawy, a widząc dopiero, zwłaszcza gdy liczba ich wzrosła, jakie korzyści inne cechy z praw swych odnosiły, uprosili Radę miejską do wygotowania i potwierdzenia dla siebie stosownych ustaw. Za wzór służyły ustawy przyznane cechowi młynarskiemu we Wschowie, przez Urząd radziecki kościański w tym celu sprowadzone. Podpadać musi, że nie sprowadzono ustaw z stolicy Wielkopolski, co naturalniejszym by było, łomaczy się to jednakże tą okolicznością, że młynarze w Poznaniu w owym czasie wcale cechu nie tworzyli, a ustawy ich dopiero z r. 1751 pochodzą.

Książka protokularna zawiera wiadomość, że do roku 1845 był każdy młynarz był zobowiązany dawać na św. Michał dwa kapłony magistratowi, co temuż służyło „na pomnożenie dochodu”. W tym roku przez abluicyą zapłacił każdy młynarz 20 marek raz na zawsze i został zwolniony od tej daniny. Wówczas było 17 młynów wietrznych, a więc magistrat pobierał rocznie 34 kapłony.

W roku 1852 nadano cechowi młynarskiemu nowe ustawy, których powtórzenie przechodzi ramy naszego zadania.

Cech młynarski przechowuje medal srebrny z r. 1793, bity na wcielenie części Polski do Prus, zwanej Prusami południowymi. Strona główna opatrzona jest popiersiem króla Fryderyka II, strona odwrotna orłem, z napisem: Vobis quoque pater. Robotar

► Abramsona. Jakiej okoliczności przypisać przechowywaną monetę francuską Ludwika z r. 1725, z legendą: Sit nomen Domini benedictum, trudno dociec.

Posiadają dalej młynarze dwa tłoki do pieczęci. Mniejszy przedstawia wieżę o dwu kondygnacjach, w dolnej brama otwarta, w górnej, pokrytej dachem trójkątnym, okno. Obie części rozgranicza galeria, na której obustronnie zatknięte chorągwie. Wieża rozdziela r. 1728, w otoku zaś napis: Sigillum frater. Molitorum Costen. Na drugiej większej pieczęci wyobrażone koło zębate, podtrzymywane przez dwa lwy, z napisem: Die Müller-Innung zu Kosten.

Cecha drewniana w kształcie młota, którego oba końce obucha są przedłużone, ozdobiona jest na jednym końcu obucha wyróżnionym wiatrakiem, na drugim zaś końcu młotem i cyrklem. Spodem rok 1720, znak więc ten bracki starszym jest od potwierdzonych ustaw.

Lustracya z roku 1765, wymieniając cechy ówczesne, nie pomieszcza cechu młynarskiego, natomiast lustracya z roku 1789 już go znów między istniejącymi zaznacza, dodając, że mistrzów było 10. Że cech młynarski nigdy przed zaprowadzeniem wietrznych młynów liczny być nie mógł, wyphywało z stosunków. Wszelkie zboża już od czasów przedhistorycznych mełto na żarnach, które do dziś dnia u ludu wiejskiego choć w innej, ulepszonej formie się zachowały. Później wystawiono młyny na rzekach, obracając ich koła prądem bieżącej wody. Młyny wodne wymagały większych nakładów, stały się też wyłączną własnością możnych, bogatych dostojników lub też panujących. Piastowie przy nadaniach rezerwowali dla siebie dochody z młynów, które naturalnie były znacznymi. W braku pieniędzy odstępowano część dochodów z młynów za sułtem wynagrodzeniem ludziom prywatnym, albo też obdarowywano częściami dochodów kościoły na utrzymanie duchownych, wreszcie królowie wynagradzali nimi swych zasłużonych poddanych lub urzędników, szczególnie wójtów. Gdy

wody zabrakło, urządzano młyny obracane siłą koni, a dochody z nich tym samym podlegały warunkom. Młyn wodny i koński w Kościanie na powyższe dedukcyje dostarcza dowodów, to też historyi ich słów kilka poświęcamy.

Pierwsza wiadomość zachowana o młynie wodnym w Kościanie pochodzi z r. 1359, w którym młynarz Peczo sprzedaje trzecią część młyna wodnego, którą miał na młynie króleskim, Anzelmowi i Gobelowi za 8 marek polskich. Sprzedaż tę potwierdził w Kościanie Przeclaw z Gułtów, jako kasztelan poznański a burgrabia kościański.

Anzelm ów długo pozostaje posiadicielem tej trzeciej części młyna wodnego a sprzedaje ją, wraz z trzecią częścią młyna końskiego, także przy zamku położonego, Jekelowi Rormanowi r. 1387. Dwa są tej sprzedaży potwierdzenia, dane przez Tomisława Żońskiego. W pierwszym podana cena 600 grzywien szerokich groszy praskich, licząc po 18 groszy na grzywnę w drugim mowa tylko o 100 grzywnach groszy praskich. Henszel, Hanselmus czyli Anzelm widoczna za wiele zrazu sobie zapłacić kazał, a już po miesiącu pięć szóstych ceny kupna opuścił.

Czy powyższe części młynów wodnego i końskiego przez spadek lub kupno na Mikołaja z Kościana, Kanonika wrocławskiego, później przeszły, czy też mowa tu o innej trzeciej części, oznaczyć nie można, jest jednakże zapisaną sprzedaż dokonana przez tego Księdza. Roku 1480 sprzedał całą swą część młynów, końskiego, w którym się sład mele i wodnych na rzece Obrze, w których się mełą zboża i żyto i foluszu, swoją schedę ojcowską, urodzonemu Piotrowi z Kościana, bratu swemu, za 108 grzywien i 8 groszy średnich szerokich.

Przy rewizyi zamku kościańskiego z r. 1565 zapisano do protokołu, że przy zamku ku miastu „zbudował dzisiejszy starosta młyn koński dość dobrze i kosztem niemałym na murywanym fundamencie z drzewa wiązany, w strychnulce lepiony, z wszystkimi potrzebami, z żelazmi, które do młyna należą. W tym młynie stajenka na dole na 4 konie, pole tej stajni komora młynarzowi. Nad tą stajenką i komorą są dwie komorze do sładów. Ten młyn

jest gruntownie pobity, w szczycie galki obite blachą i powietrzniki z herbami.

Lustracya z r. 1661 wspomina, że do zamku kościańskiego należał młyn na rzece Obrze o trzech kołach walnych i czwartym foluszowem, ale go funditus Szwedzi spustoszyli i żaden teraz z niego prowent nie idzie. Mowa tu jeszcze o młynie końskim, którego młynarzami są Księża mansjonarze Tumu poznańskiego i trzecią miarę biorą. Młyn ostatni służył tylko do mielenia sładów.

Młyn na rzece Obrze został odbudowany, bo lustracya z r. 1736 zaprotokołowała: „Młyn pod zamkiem na rzece Obrze, który gdy rok suchy przysychiwa, ma trzy koła mączne a czwarte foluszowe, którego młyna są młynarzami Psauterystowie poznańscy i trzecią miarę mają.”

Jeszcze drugi młyn był na Obrze za klasztorem Dominikanów, lecz w posiadaniu prywatnem.

O młynach wietrznych w katach tyczących Kościana jeden tylko zapisek istnieje, a to z r. 1765 w ówczesnej lustracyi. Przy wyliczaniu ilości domów w mieście wspomniano, że młynów wietrznych było 8. Czacki pisze, że wiatraki miały być już za Kazimierza W., mianowicie w Wielkopolsce, Łukaszewicz zaś w aktach Poznania pierwsze wiadomości o wiatrakach znalazł dopiero w pierwszej połowie XVIII w. i sądzi, że to też jest czas ich powstania, a że dopiero za Stanisława Augusta liczba ich się wzmogła. W Kościanie musiały już przed r. 1725 istnieć wiatraki, bo przy nadaniu ustaw cechowi młynarskiemu wyraźnie przykazano, aby mistrz do cechu przyjęty miał swój własny albo też dzierżawiony młyn wietrzny.

Wcześniejsze ich istnienie potwierdzają akta poborów w Kościanie z r. 1581, zapisano bowiem wówczas, że molendina ventilia, wiatraki, opodatковано w liczbie sześciu. W listach tych poborowych Wielkopolski znajdujemy z owego czasu, ale i jeszcze wcześniejszego, znaczną liczbę wiatraków wymienioną.(cdn)

KLEMENS KOEHLER



Grodzisko w Kurzej Górze. Zdjęcie lotnicze Marka Kaczmarczyka z Poznania. W zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

O grodziskach (3)

Jest to ostatni odcinek opracowania mgra Jana Pawickiego. Autor jest zięciem regionalisty, założyciela i długoletniego prezesa Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej prof. Bolesława Iglowicza, który w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku podjął badania stanu zachowania grodzisk w okolicach Kościana.

Łęki Wielkie – grodzisko z okresu wczesnego średniowiecza, położone 500 m na południe od Północnego Kanału Obry, około 2 km na pld.-wsch. od wsi. Znalezione tam liczne fragmenty ceramiki i zwierzęce kości.

Nielęgowo – grodzisko stożkowe położone około 1 km na północ od drogi Gryżyna-Nielęgowo wśród łąk za zachód od Kanału Wonieskiego. Grodzisko stanowi dzisiaj owalne wzniesienie o wysokości 1,5 m, silnie zakrzewione. W północnej części widoczne są ślady rozebranych zabudowań gospodar-

skich. Znalezione tam grudki polepy, drobne węgielki i ułamki ceramiki.

Prochy I – grodzisko wkłęste, koliste z podwójnym wałem, położone około 1200 m na pld.-wsch. od miejscowości Faustynowo. Wymiary zewnętrzne 140x120 m, wewnątrz 85x82 m. Wysokość wału 2,3 – 2,75 m. Znalezione tam około 50 fragmentów ceramiki, dwa fragmenty prążnicy, przęślik, fragment rogu ze śladami obróbki oraz kości zwierzęce.

Prochy II – grodzisko wkłęste, koliste o średnicy 55 m, wysokość wału 1,5 – 2,5 m. Położone nad Kanałem Obry około 1,5 km na pld.-wsch. od wioski Faustynowo. W części wschodniej jest zniszczone. Znalezione tam m.in. 26 fragmentów ceramiki.

Przysieka Polska – grodzisko wkłęste, koliste, położone około 250 m na wschód od drogi Bruszczewo – Przysieka i 500 m na pld.-wsch. od

Samicy, otoczone fosą, nieco zniszczone. Średnica 70 m, a wewnątrz 35 m, wysokość wału 2,56 – 3,15 m. Stwierdzono tam dwie fazy osadnicze.

Reńsko – grodzisko wkłęste, położone wśród łąk, około 1,5 km na południe od Reńska. Rozmiar 57x70 m, wewnątrz kotlinka 21x25 m, wysokość wału 1,5-2,5 m. Od wschodniej i zachodniej strony widoczny wał i rodzaj grobli przez fosę o szerokości 5 m i głębokości 0,8 m. Znalezione tam fragmenty ceramiki.

Trzcinią – grodzisko wkłęste, położone wśród łąk, 300 m na północ od kanału, porośnięte drzewami.

Turew – grodzisko wkłęste, położone wśród łąk, na prawym brzegu Rowu Wyskockiego, około 1,2 km na południe od wsi i 100 m od mostu przez kanał, na wschód od drogi polnej z Turwi do Rogaczewa Wielkiego. Grodzisko częściowo zniszczone, pozostał półkolisty wał. Średnica grodziska wynosi 110 m, szerokość wału u podstawy 18 m, a na górze 2,5 m, wysokość wału 3,5 m, istnieją ślady fosy. Znalezione tam węgiel drzewny, fragmenty ceramiki i polepy, a także na głębokości 0,7 m od powierzchni bruk oraz kości zwierzęce.

Wilanowo – grodzisko czworokątne, położone 400 m na północ od Kanału Obry, od strony, od strony wschodniej drogi z Wilanowa do kanału. Średnica około 40 m. Stanowisko to było znane wcześniej jako Łęki Małe.

Wolkowo – grodzisko stożkowe, położone około 50 m na zachód od rzeki Mogilnicy i około 1 km na pld.-wsch. od wsi.

Ziemin – grodzisko stożkowe, otoczone fosą, położone wśród łąk około 100 m na północ od wsi, kilkadziesiąt metrów od mostu kolejowego. Średnica wynosi 40 m, a wysokość

wału 1 – 1,5 m. Znalezione tam fragmenty ceramiki.

*

Do najciekawszych i najlepiej zbadanych grodzisk należą Bonikowo i Bruszczewo. Grodzisko w Bonikowie zostało omówione w fachowej literaturze już w 1882 r. Badania prowadzili tu później znakomici uczeni - profesorowie: J. Kostrzewski, W. Kowalenko, W. Hensel i Z. Hołowińska. Grodzisko znajduje się około 2 km na zachód od Bonikowa, w odległości 200 m na zachód od Kanału Mosińskiego. Składa się z okrągłej kotlinki, otoczony wałem z dwoma przylegającymi od płd.-wsch. wałami i przedwałem. Wał w pn.-zach. części został całkowicie zniszczony w 1880 r. Wysokość wału sięga 2 m. Za wałem znajduje się kolejna kotlinka o powierzchni 10 arów. Wysokość otaczającego ją wału wynosi 1,5 – 2 m. Za tym wałem można zauważyć silne wklęsnięcie oraz kolejną kotlinkę o kształcie prostokątnym i powierzchni 30 arów, otoczoną także wałem o wysokości 2,20 m. Od strony płd.-wsch. wybiega sierpowate niskie wzniesienie, stanowiące pozostałości przedwału. Grodzisko otoczone jest w całości fosą o szerokości 8 m. Wymiary grodziska wynoszą 100x180 m. Przeprowadzone badania wykazały, że przed wybudowaniem istniejącego dziś grodziska istniał tam mały gródek lub osada otwarta, których istnienie można datować na V lub VI wiek n.e. Widoczne obecnie grodzisko powstało prawdopodobnie na początku IX wieku na terenie nizinnym i bagnistym. Położone na pograniczu wielkopolsko-śląskim upadł, po przyłączeniu przez Mieszka I w latach 989/990 Śląska do Polski. W wyniku prowadzonych badań wydobyto tam liczne fragmenty ceramiki, a także różne przedmioty z brązu i żelaza.

Gród w Bruszczewie położony był na niewielkim wzgórzu otoczonym z trzech stron wodami rzeki Samicy. Przesmyk łączył wzgórze z łądem. Znajdująca się tam fosa miała głębokość 5-8 m, szerokość

20 m i długość 80 m. Na powstałej w ten sposób wyspie wybudowano gród na planie koła o średnicy 120 m. Gród był umocniony dwoma rzędami palisad. Drzewa dębowe użyte do ich budowy zostały ścięte około 1900 lat p.n.e. Grodzisko funkcjonowało około 400 lat. Badania naukowe wykazały istnienie tam różnych unikalnych rzemiosł, a w tym metalurgicznych i ceramicznych. Osada powstała w okresie kultury unietyckiej. Około 2300-1600 lat p.n.e. Istnienie tak wielu wspaniałych zabytków, w które wpisane są dzieje społeczeństw zamieszkujących Ziemię Kościańską, zobowiązuje współcześnie żyjących do troski o nie, szerzenie wiedzy, jak cenne są dla naszej kultury. Profesor Kowalenko już w 1935 r. twierdził, że jednym ze sposobów ochrony grodzisk jest:

„(...) zarządzenie przymusowego zalesienia grodzisk. Las znakomicie chroni zabytki. Grodziska w lasach położone lub zalesione zachowują w niezmiennym prawie kształcie swą budowę, mniej podlegają niszczeniu działaniu opadów, a przytem najzupełniej zabezpieczają się przed uprawą i rozwojem”.

Wspomniany uczyony analizując istnienie tak wielu grodzisk nad Obrą dochodził do wniosku, że:

„Bagna doskonale rozszerzały obronne zalety przestrzeni wodnej. Najbardziej zabagniony równoleżnikowy odcinek Obry przedstawia wyjątkowe skupienie grodzisk pomiędzy Kopanicą i Bonikowem. Przed skanalizowaniem Obra w tej części nie przedstawiała jednolitego biegu, wody jej rozlewały się na znacznej przestrzeni. W miejscu dawnej doliny Obra tworzy trójfurkację, rozdzielając swój bieg w trzech różnych kierunkach – ku Odrze, Warcie środkowej i Warcie dolnej. W średniowieczu Obra stanowiła najtrudniejszą do pokonania zaporę, podczas wypraw do Polski Fryderyk II w 1157 roku. Niewątpliwie topieliska i moczary nadobrzańskie były jeszcze bardziej niedostępne w czasach prehistorycznych”. (Koniec)

JAN PAWICKI

Szachy w sali gimnastycznej

W nawiązaniu do art. Jerzego Zielonki pt. „Kłątwa Pingwina” nad Łazienkami” „Gazeta Kościańska” nr 10/680 z dnia 7 marca 2012 roku, za pośrednictwem „Wiadomości Kościańskich” chciałbym uzupełnić wiadomości na ten temat, które pozyskałem dzięki badaniom archiwalnym.

Sala gimnastyczna na Łazienkach w Kościanie była nie tylko miejscem treningów piłkarzy i zawodów koszykarzy, ale także przez długi czas stanowiła miejsce do rozgrywania zawodów szachowych. W czasie uroczystej akademii w dniu 12 października 1957 r. nastąpiło przekazanie hali społeczeństwu, a już dnia następnego rozegrano zawody szachowe. Przed spotkaniem Stanisław Skowroński (sekretarz klubu i sędzia szachowy) w imieniu szachistów Lecha złożył życzenia jak najlepszych wyników w pracy na niwie szachowej i wręczył dyplom pamiątkowy z okazji 45-lecia istnienia klubu kapitanowi KKS Obra.

Mecz rozegrano na 12 szachownicach. KKS Obra Kościan przeciwko Lechowi Poznań. 1) Grodzki Bogdan – Pietrusiak Bogdan 0:1; 2) Konik Waław – Skweres Zbigniew 0:1; 3) Klupach Zenon – Zieliński Tadeusz 1:0; 4) Staszewski Stanisław – Znizakowski Henryk 0:1; 5) Kaźmierczak Bogusław – Mańka Jan 0:1; 6) Drąg Ryszard – Pilarski Andrzej 0:1; 7) Gałecki – Skweres Stanisław 0:1; 8) Albiński Waław – Jabłonka 0:1; 9) Pogorzelski – Modliński Bogdan 0:1; 10) Drąg Ignacy – Budzyński Mieczysław 0:1; 11) Kolasieński Kazimierz – Kamiński Józef 0:1; 12) Bosy Maria – Heft Aldona ½ : ½. Wynik 1,5:10,5

Wysokie zwycięstwo Lecha.

Po spotkaniu czołowy zawodnik Lecha – Bogdan Pietrusiak dał pokaz gry jednoczesnej na 10 szachownicach wygrywając 8,5:1,5. Tylko jeden zawodnik Jabłonka zdobył punkt, a Ryszard Drąg zremisował. Swoje partie przegrali: Grodzki B., Kaźmierczak B., Kuśnierski, Kolasieński K., Danielewicz L., Drąg I., Staszewski S., Kowalski.

Na podkreślenie zasługuje duża determinacja działania działaczy w stworzeniu warunków do uprawiania sportu wśród dzieci i młodzieży i starszych oraz utrzymywania łączności innymi klubami i stowarzyszeniami sportowymi.

WŁADYSŁAW PIASKOWSKI